

Wies

tygodnik społeczno-literacki

Rok VII

Warszawa, dn. 22. X. 1950 r.

Nr 42 (273)

ROCZNICA BITWY POD LENINO – ŚWIĘTEM WOJSKA POLSKIEGO



Na zdjęciu: Gen. Świerczewski przeprowadza odprawę z oficerami 3 Dyw. przed wyruszeniem jej w stronę granicy Polski na Bugu

Wdzięczność

Pod Lenino
nie liczyłaś, o Polsko,
rzednącej tyraliery.
Śmiercią
wolności szły kuryery:
żołnierz ginął!

Kościuszkowska
Dywizja bohaterska
boju zostawiła plon —
Wolność!
Rozkołysany bił dzwon
szczęścia rozkaz,

co krwią młodych
lasami, polami szedł;
koszmarem w popieliskach,
bratem
poległym we wrzosowiskach
co odchodził.

Kraju życie,
dzieci uciszony krzyk,
wolność ojców i braci
wdzięcznie,
Polsko, musisz zapłacić
swym rozkwitem!

LUCYNA PENCIAKOWA
(Głos Czytelnika)



Braterska pomoc i żołnierska koleżeńskość cechowała żołnierzy w Dywizji Kościuszkowskiej

STANISŁAW CIEŚLAK

„TO MY I NASZA PRACA”

Pokażna już ilość chłopskich wypowiedzi na temat Planu 6-letniego, zamieszczonych na łamach „Wsi” daje podstawę do rzucenia kilku uwag w celu dalszego rozwinięcia i pogłębienia dyskusji.

Wyjaśnianie wielkich zamierzeń Planu 6-letniego, popularyzowanie go w terenie, wskazywanie na to co nowe, postępowe, zgodne z planem w życiu gromady czy gminy, zwalczanie tego „co reakcyjne, stare, zmuszające i stawiające opór narastającemu porządkowi socjalistycznemu,

w produkcji, określa formę rozdziału — formę, w której każdy bierze udział w rozdziale”²⁾

W jaki sposób po zdobyciu władzy klasa robotnicza w sojuszu z pracującym chłopstwem buduje nowy ustroj? Właśnie przez wprowadzenie zmian w systemie produkcji, co wywołuje wytworzenie się nowych stosunków wytwórczych i społecznych.

Dlatego plan produkcji jest sercem całego Planu Sześcioletniego, a walka o jego wykonanie głównym i podstawowym zadaniem planu. Niezno-

Dalej. W wypowiedziach nie może zabraknąć nie tylko konkretnych, mobilizujących opinie, przykładów walki o wzrost produkcji i o jej potępienie. Mocny wyraz znaleźć musi także druga sprawa, nowego ustawienia się ludzi do wykonania nowych zadań produkcyjnych.

Głosy w dyskusji słusznie i trafnie zwracają uwagę na rewolucyjny przełom, jaki na odcinku nowej techniki zaopatrzenia w środki produkcji, nastąpi na wsi w okresie Planu Sześcioletniego. Nowa technika to bardzo ważna rzecz, ale to nie wszystko. Technika daje rezultaty tam tylko gdzie jest należąca organizacja pracy. Wielką sprawą nowej organizacji pracy, nowego ustawienia się ludzi do wykonania nowych zadań produkcyjnych poza kilkoma głosami pominięto milczeniem.

Nie wystarczy zakończyć wypowiedź akcentem o spółdzielczości produkcyjnej, trzeba pokazać jak u nas, w naszej wsi ustawiają się wykonania wielkich zadań Planu Sześcioletniego, spółdzielnie produkcyjne, PGR, indywidualni chłopcy i ich grupy planatorów i hodowców, Koło gromadzień ZSCH i ZMP, spółdzielnie gminne itp. wtedy dopiero otrzymamy pełny i właściwy obraz.

2) Wykonanie Planu Sześcioletniego wymaga uruchomienia olbrzymich, a niewykorzystanych jeszcze rezerw tkwiących w całej naszej gospodarce a więc i w gospodarce rolnej.

Przebieg połowy sum potrzebnych na planowaną rozbudowę całego gospodarstwa narodowego, a więc ponad 3 biliony (3.000.000.000.000) złotych musimy uzyskać i z pewnością uzyskamy przez obniżenie kosztów produkcji na drodze wzrostu wydajności pracy, lepszego wykorzystania ziemi, maszyn, urządzeń, skrócenia cyklu produkcyjnego, przyspieszenie obiegu środków finansowych, oszczędności w zużyciu surowców itp. w każdej dziedzinie gospodarki, a nie tylko w przemyśle.

Na wskazanie tych rezerw i uruchomienie ich nie zwrócono dotychczas dostatecznej uwagi. Wskazano trafnie i wyczerpująco na istniejące rezerwy pracy. (J. Bieniek), podkreślono możliwości rozszerzenia bazy paszowej (J. Jelonek, Grabowski i in.), ale widać, że planowane dla każdego terenu cyfry produkcji rolnej, wydajności z ha, skupu rolnego itp. nie wszędzie jeszcze zostały na wsi przemysłowe, że część aktywów wiejskiego nie szuka jeszcze razem z masami maszyn, narzędzi i wytworów nowych metod pracy prowadzących do ich osiągnięcia. Widocznie niedostatecznie analizuje się jeszcze wyniki

dotychczasowe, nie śledzi za wymagalnością i inicjatywą mało i średniorolnych chłopów w kierunku zwiększenia produkcji rolnej.

3) Plan zaczyna się, a nie kończy z chwilą ustalenia cyfr kontrolnych i wskaźników ekonomicznych.

Stała systematyczna kontrola wykonania planu sprawowana przez czynniki polityczne i społeczne — to jeden z najistotniejszych, a stale jeszcze pomijanych, elementów planowego systemu gospodarowania.

Mamy już za sobą trzy kwartały wykonania planu, a w rolnictwie takie decydujące wydarzenia jak wiosenna akcja żniwna, jesienna akcja siewna, pogłębienie i rozszerzenie planowego oddziaływania na rolnictwo w formie nowych kontraktów, nowej polityki podatkowej i kredytowej, nowego planu skupu zboża, weszły również w życie nowe zasady elektryfikacji wsi itp.

Chcemy się dowiedzieć, czy i w jakim stopniu wykonały swój plan wsi wymienione w głosach terenu. Jakże doświadczenia i wnioski wyciąga aktyw wiejski z takiego wykonania planu, co zamierza zrobić aby w Wiercianach, Karnkowie, Stanisławowie Dolnym i w innych wsiach zwiększyć osiągnięcia, a usunąć dostrzeżone braki?

Jeśli palącą i pilną sprawą jest usprawnienie wymiany i zaopatrzenia w danej wsi, to czyż nie należy wyjść od analizy planu pracy na rok bieżący i przyszły miejscowej Gminnej Spółdzielni? Porównać go z rezultatami pracy w roku zeszłym, ocenić krytycznie tempo rozwoju, nie ukrywać trudności, ale i szukać sposobów ich przewyżczenia?

4) Ustrój kapitalistyczny zmierzał wytrwale, choć bezskutecznie do ukształtowania w masach pracujących postawy niewolniczej. Kapitaliści i obszarnicy pracę produkcyjną otaczali pogardą, lekceważyli cenę, praktycznie doświadczali ludzi pracy, odmawiali masom pracującym prawa do twórczości, do kształtowania swych losów. Ludzili krzywdzonych i wyzyskiwanych, że przez odwołanie się do „łaski pańskiej” mogą uzyskać pewne polepszenie swego losu.

I dziś wróg klasowy usiłuje utrzymać chłopów mało a zwłaszcza średniorolnych w bierności i w bezwładzie. Wie bowiem dobrze, że bez uruchomienia przez klasę robotniczą i jej partię, tej energii rewolucyjnej i inicjatywy twórczej, która jeszcze w znacznym stopniu niewykorzystana, drzemie w masach pracujących chłopstwa, niemożliwa jest budowa

sojalizmu. W tym celu zniekształca wróg klasowy i wypacza zasadę centralizmu demokratycznego, która leży u podstaw struktury państwowej w ustroju socjalistycznym i w okresie przejściowym do socjalizmu.

Ta zasada znajduje swój wyraz i w najwcześniejszej funkcji państwa ludowego jaką jest planowe kierowanie procesami gospodarczymi.

Istotą centralizmu demokratycznego w przeciwieństwie do centralizmu biurokratycznego jest umiejętne łączenie interesów ogólnych narodu z

oraz polepszenie dobrobytu i kultury mas pracujących.

We wszystkich wypowiedziach rzuca się w oczy pogłębiająca się znajomość swojego terenu, bez której zresztą nie ma działacza i organizatora życia społecznego. Widać, że nasi pisarze i korespondenci uczą się wytrwale i forszownie problematyki ekonomicznej i społecznej nowego terenu. Umieją dać nie tylko suche dane statystyczne, ale dostrzegają i prawidłowo analizują istniejący układ sił społecznych, widzą wyraż-



ukazywanie bliskiego związku ogólnokrajowych zamierzeń planu z przejawami codziennej pracy, każdej gromady, gminy, powiatu, organizowanie oddolnej inicjatywy mas pracujących, bez której plan nie może być wykonany — oto najważniejsze dziś zadanie całego aktywu politycznego i społecznego na wsi, a więc i pisarzy i korespondentów chłopskich.

Nie można w tej pracy ograniczać się tylko do popularyzowania wielkich zamierzeń planu, bez zwrócenia uwagi na właściwą organizację sił społecznych dla wykonania planu. Pisarz i korespondent winien wyraźnie wskazywać na potrzebę nowego przegrupowania sił klasowych, na konieczność mobilizacji opinii społecznej swego terenu wokół określonych, najważniejszych, kluczowych ogniw Planu Sześcioletniego. Bez takiego czynnego udziału pisarzy w toczącej się bitwie klasowej o wykonanie Planu Sześcioletniego niemożliwe byłoby osiągnięcie zwycięstwa.

Dyskusja jednak na łamach „Wsi” wykazała, że cały szereg spraw z problematyki Planu 6-letniego nie dotarł jeszcze, albo dotarł zbyt słabo do świadomości wsi. Zdarzają się nawet w wypowiedziach akcenty, które świadczą o niedostatecznej jeszcze czujności klasowej, o zesłizgiwaniu się w dyskusji i w działaniu terenowym na płaszczyznę chytře podsuwaną przez wroga klasowego.

Oto garść przykładów.

1) W planowaniu gospodarki narodowej obowiązuje pierwszeństwo produkcji.

„Określona produkcja — pisat

Maris — warunkuje określone spo-

żyte, rozdział, wymianę, określo-

ne warunki wzajemne tych róż-

nych momentów”¹⁾

„Rozdział sam jest wytworem

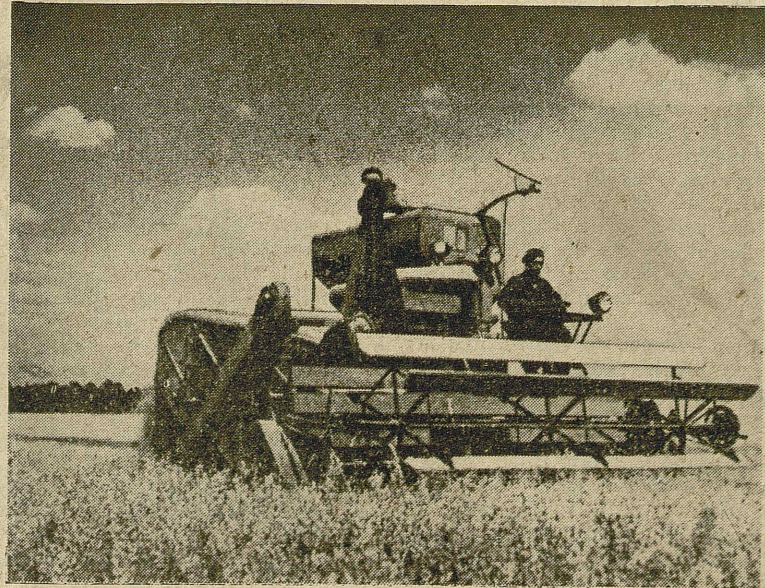
produkcji nie tylko w stosunku do

przedmiotu albowiem rozdziałone

mogą być tylko rezultaty produk-

cji, ale i w stosunku do formy, al-

bowiem określony sposób udziału



Zdjęcia na stronie 1-ej — WAF

HENRYK WORCELL

SPÓŁDZIELCY Z BIELIC

Wczesnym latem byłem już w Bielicach. Wielką niespodzianką był dla mnie tamtejszy nauczyciel, Bronisław Góralik, korespondent „Wsi” i „Gromady”, który z benedyktynską pracowitością pisał do kładną, opartą na wszelkich dostępnych mu źródłach, monografię Bielic. Ludność, jak wszędzie na Ziemiach Odzyskanych, bardzo mieszała — przeważając zabudowanie. Spółdzielni liczyła wczesną wiosną dwudziestu trzech członków. Później pięciu odpadło; byli to ludzie, którzy odeszli do fabryk, do POM-u lub na stanowisko sekretarza ZSCh. Ożyminy mieli zebrać indywidualnie, okopowe oraz zboża jare na użytek wspólny. Nie posiadali jeszcze wspólnej obory ani inwentarza żywego. Od zespolonego Pioterkiewicza Stanisława i starszego Chrzanowskiego dowiedziałem się, że mieli wielkie trudności z obróbką buraków cukrowych, którymi obsiadał dwanaście hektarów. Słowo: spółdzielnia w zarodku, że wszystkim jej troskami i nadziejami.

Poraz trzeci wybrałem się tam w początkach września. Przybyłem wczesnym popołudniem. Chciałem wreszcie poznać przewodniczącego Osetka Franciszka i sekretarza Góralika Józefa (brata nauczyciela, o którym już wspominałem) ale nie zastałem ich w biurze.

Stałem przed wjazdową bramą ośrodka. Zabudowania iście dworskie o murach metrowej grubości, tworzyły prostokąt otaczający rozległe podwórze z obmurowaną gnojownią pośrodku. Jednak wśród tych „masywnych rud” — stajen, chlewów, stodoł, wozowni, panował teraz ożywiony ruch. Chłopi uwiązali się wózy, jakby wrogim przy siewnikach, wstawiali beczkowozwozy pod dach, wydłubali cegły z wozu, jakiś chłopak mieszał wapno w korycie, pokrzykując na swych kolegów szkolnych, którzy baraszkowali na podwórzu. Skierowałem się ku stajni, gdzie również krzątali się ludzie, i już w progu natknąłem się na zespolonego Pioterkiewicza. Przywitał się ze mną tak, jak gdybyśmy się nie trzy miesiące temu, lecz wczoraj widzieli, podał mi rękę przemawiając, równocześnie do swych towarzyszy remontujących stajnię.

— rozpruć robotę łatwo, naprawić trudno. Jak się zaczyna wykopki, to do wi-de-nia z sieciem! Będziemy działowac z robotą do grudnia. Bo wie pan — tu Pioterkiewicz zwrócił się do mnie — wczoraj był u nas agronom powiatowy i gadał, że jeszcze wczesniej siać.

— Może ma rację — odrzekłem — przecież to dopiero początek września.

— Ja też tak mówię — odezwał się syn Pioterkiewicza stojący na drabinie, z pędzlem w ręku i twarzą upstrzoną piegami wapna — bo jak zboże wybuja, a przyjdzie ostra zima?..

— Wszystko jedno — przerwał mu ojciec — jaka by zima nie była — siać trzeba. Autochtoni znają tutejszy klimat lepiej niż my i zawsze wczas sięja. A druga rzecz: jak nie zasiejemy w ciągu najbliższych tygodni to potem zawalimy z robotą na całego, bo przyjdą wykopki. Pan wie, mamy dwanaście hektarów buraków i piętnaście ziemniaków.

— Ale i więcej ludzi mamy, więcej rąk do roboty — odezwał się słusarz Berezniński, który manipulował przy rurach doprowadzających wodę do żłobów.

Rozjeżdżałem się po stajni. Była już wybielona. Czwartą jej część zajmowało kilkanaście koni, po przeciwnej stronie stało sześć rasowych czarno-białych krów. Konie miały tu stać tymczasowo, dopóki nie zostanie wyremontowana stajnia przeznaczona dla nich po przeciwnej stronie podkórza. Tu się będą mieszcili tylko krowy. Na razie jest ich tylko sześć, ale już spółdzielcy wyjechali w teren, by za uzyskany kredyt skupować dorodne sztuki tej samej rasy. Prócz Pioterkiewiczów i Bereznińskiego pracowało w stajni dwóch ludzi: jeden młody, wprawiał szyby do okien, a starszy Chrzanowski, którego już dawniej poznałem, pracował jako murarz naprawiając zagrodę dla cieląt.

— Ho ho! — zawołałem — widzę, żeście się serdecznie do roboty wzięli.

— A co pan myślał — odrzekł starszy Pioterkiewicz — na co będziemy czekać? Tu nam już jedna firma budowlana chciała remontować cały ośrodek i zrobić nawet kostorysy. Chcieli 1.250.000 zł! No, nie powiem że to drogo, tu roboty nie ma, ale my znów nie możemy zstać milionami... Zabrałmy się sami do roboty i wszystko razem będzie nas kosztowało 100.000.

— Iuż teraz macie członków?

— Trzydziestu siedmiu. I więcej by było, bo się ciągle zgłaszają, ale my na razie nie przyjmujemy.

— Czemu to?

— Taki już mamy plan. Spółdzielnia musi się rozwijać stopniowo. Wejdzie naraz dużo członków, to powstaną bałagan. Nie trzeba daleko szukać, bo w Siedzinie tak było. Zresztą, pan wie, ludzie są różni. Byli tu tacy, co się wyprzedali z inwentarza i potem się pchali do spółdzielni.

— Jamrozik jeszcze wczoraj za-

chodził do sekretarza — wtrącił słusarz — pewnie myślał, że mu się uda wkręcić.

— Jamrozik jeden, a Szydło taki sam... Na wiosnę był z daleka od nas, a teraz widzi, że nam dobrze idzie, to chce przyjąć z gołymi rękami. Ale niechby nawet był tą „panną bez posagu”, tylko żeby miał chęć do roboty. Są tacy, co myślą, że jak wstąpią do spółdzielni, to będą leżeć do góry brzuchami, a maszyny za nich robić.

— Gęgała Franek... — poddał znów słusarz.

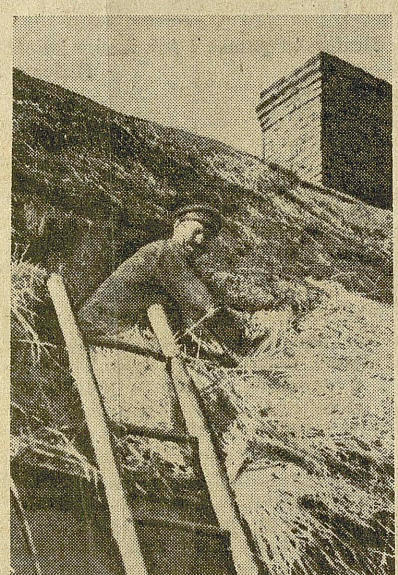
— Gęgała Franek i Szydło i jeszcze inni by się znaleźli. Gęgała tak powiada: jak jest postęp i maszyny się fabrykuje, to już po to, żeby maszynę w polu robiły, a chłop siedział.

— A wiesz, on ma trochę racji — zawołał szklarz śmiejąc się na swej drabinie.

— Racji, racji — zaperzył się zespolony Pioterkiewicz — będzie leżać, kiedy wykonamy plan 6-letni. Jak będzie pokój i socjalizm na całym świecie, wtedy co innego. Więcej będzie na mechanikę pracował niż na siłę. A teraz to trzeba... Eh, gadasz, że Gęgała ma rację, to czemu się uwijasz i sam robisz od rana do nocy?

— Bo nie chcę, żebyśmy sprawę tak zawalili jak w Siedzinie.

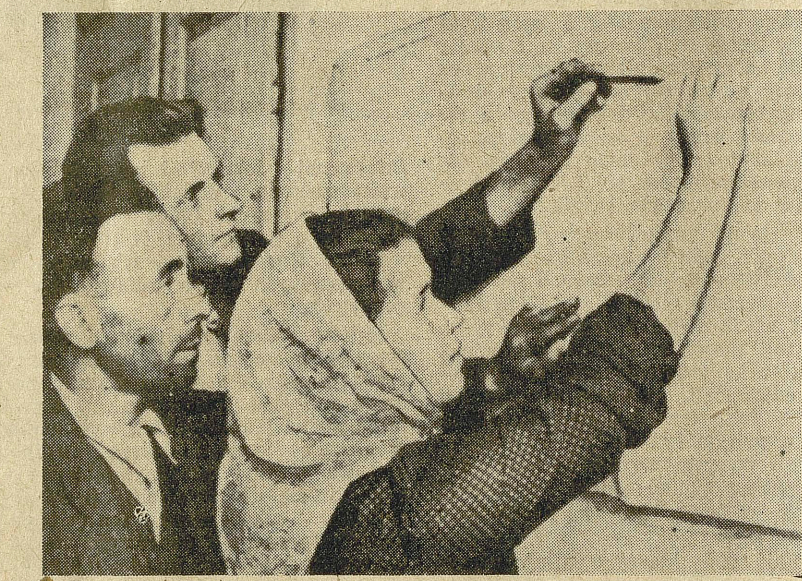
— A mnie ta Siedzina w głowie siedzi — wtrącił się słusarz — bo ja wiem tyle, że jak w Planie 6-letnim produkcja rolna ma być zwiększona o pięćdziesiąt procent, to my musimy plan wyciągnąć...



Starszy Chrzanowski, chłop o „pomarszczonej, kwadratowej” twarzy i żywych oczach, wyszedł z głębi stajni. Miał na sobie celutowe fartuch, w ręku trzymał kielnię. Zwykle ludzi, którzy znają wartość swej pracy i których do tej pracy nie trzeba zapędzać, usiadł swobodnie na jakiejś beczce i zapalił papierosa.

— Ty, Staszek — powiedział ciepło do Pioterkiewicza — lepiej byś zrobił, jakbyś poszedł w pole.

— Dawno to był? Godzine temu? Jakby co ważnego robili, to bym w polu siedział, ale bronowanie? Koszbie nie trzeba siedzieć na karku, on sam jeszcze chłopaków dopilnuje. Mnie ciągle ta kuźnia siedzi w głowie. Pan wie, kuźni nie



W biurze spółdzielni

mamy, to dla nas cholerny kłopot. Znam tę historię. Coraz liczniej powstające ośrodki maszynowe wyławiają fachowców, kowali, słusarzy, fabryki również poszukują tych ludzi. Trafia się, że wieś jakaś zostaje bez kowala i narzędzi. Spółdzielnie produkcyjne łatwiej ten problem rozwiązują, bo wspólnymi siłami. Dokształcają swego kowala-amatora, narzędzia wyszukują po damach, częściowo dokupują. Tak właśnie powstaje kuźnia w Bielicach. Pioterkiewicz wszystko chciałby zdobyć bez pieniędzy, wszystko tworzyć z niczego. Znałe jest jego powiedzenie, które powtarza niemal na każdym zebraniu: „jeden człowiek zrobi tyle, co jeden, ale dwóch może zrobić tyle, co czterech”.

Starszy Chrzanowski rzucił niedopałek na ziemię, dokładnie przypieczętował go butem i zwrócił swą kwadratową twarz ku bramie.

— O, nasz przewodniczący idzie... Trzej mężczyźni szli drogą coraz wolniej i wreszcie zatrzymali się przed bramą, żywo o czymś rozprawiając. Przewodniczącego jeszcze nie znałem, domyślałem się tyl-

ko, że jest nim ten najniższy spośród trzech łysawy i najwymowniejszy.

— Co to za człowiek, ten Osetek? — zapytał Pioterkiewicz — Zdolny jaki chłop?

— Ee, nie ma co mówić, ma głowę na karku. Jak trzeba nam coś załatwić w powiecie albo województwie, to tylko on.

— Partyjny?

— A jakże. Przeszedł dwa kursy, na robocie się zna, i jest otrząskany ze światem. On i w Radzie Narodowej i wszędzie. Ale...

— Ale co?

— On tu długo nie będzie, województwo chce go ścignąć do siebie.

Jakoś przewodniczący Osetek nie mógł się oderwać od swych towarzyszy, długo z nimi rozmawiał. Starszy Chrzanowski podniósł z ziemi kielnię i dźwignął się z beczki.

— Widzisz Stasiu — rzekł do Pioterkiewicza — jakoś naszych z Łambinowic nie widać...

— Ano! Trzy furmanki pojechały rano do Łambinowic po nawozy i nie ma ich. Niech to pieronny... może im znów koła nawalili! Ja powiadam, że jak ta kuźnia nie będzie gotowa w tych dniach, to do łufy z całą robotą.

W tej chwili przy bramie rozległ się głos przewodniczącego Osetka:

— Pioterkiewicz! Ile tam macie owsa w magazynie?

— Chcesz dokładnie wiedzieć? Bo musiałbym do książki zajrzeć.

— Nie, mniej więcej.

— Będzie chyba około trzech ton. Osetek pożegnał swych towarzyszy i skierował się ku nam, kulejąc na jedną nogę i świecąc łysiną.

— Nie ma co — mówił z daleka do Pioterkiewicza — trzeba z tymi koniami jak najprędzej załatwić. Ile ich jest, trzydzieści dwa? No to śmiało można dwanaście sztuk sprzedać. Zostanie dwadzieścia i to za dużo. POM obiecał nam dwa traktory do zimowej orki. Acha, Duda telefonował z Niemodlina...

— Ale! — ożywił się Pioterkiewicz — kupili co?

— Tak. Wyniechali pięć sztuk czarno-białych, ale weterynarz dwie odrzucił. Chore. Gruźlica, nie gruźlica, coś tam nie w porządku. Ciężko będzie skompletować jedną rasę. Dzień dobry — zwrócił się do mnie — pan w jakiej sprawie?

Zawsze się głupio czuję, kiedy muszę się na wsi przedstawiać jako reporter, korespondent, literat... Wolalibyśmy skłamać, powiedzieć „prosto”, że jestem „zainteresowany” rozwojem spółdzielni ze względów czysto praktycznych, bo mam zamiar przystąpić do pracy zespolonej w swojej wsi. Ale tak nie można, przewodniczącemu trzeba pokazać dokumenty.

— Aa, proszę bardzo — powiedział Osetek zwracając mi legitymację — proszę, niech się pan rozgląda, niech pan patrzy, niestety bez mnie, bo jadę do Niemodlina.

— No, no — odparłem — pytanie, czy jest tu na co popatrzeć. Daleko tam do takiej spółdzielni, jak w Wilamowie.

— O-o, „Wilamowa” będzie obchodzić rocznicę, stoi już na dwóch nogach, a nasza spółdzielnia, to

niemowlę. Ale przyjdź pan tu za rok! Na pewno nasi ludzie nie będą szukać zarobku po pegeerach jak ci w Siedzinie.

— A właśnie — podchwyciłem — co to jest z tą Siedziną, czemu tam tak źle idzie?

— Zły start wzięli. Nie przebieżeli w ludziach, przygarnęli wszystkich. Lentuch, nie lentuch, reakcjonista, nie reakcjonista — wszyscy weszli do spółdzielni. A należało selekcjonować jak te ziemniaki zarazone wirusem. Pan wie, że jeden chory krzak może z biegiem czasu zarazić całe pole. My się dobrze zastanawiamy, zanim przyjmiemy nowego członka... Pomalutka, pomalutka „na hurra”. Ja uważam, że to jest najwłaściwsza taktyka. Niech w każdej wsi tworzą zespół z kilkunastu nawet ludzi. To na początek wystarczy. Myśmy mieli na wiosnę osiemnastu i popatrz pan, teraz jest trzydziestu siedmiu. Choćby zachęcić! O, to zdrowe chłopcy — wskazał na Pioterkiewicza i tych, co pracowali w stajni.

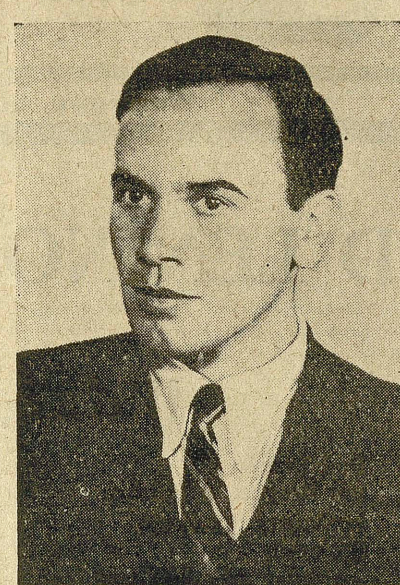
— Te zdrowe, wyselekcjonowane ziemniaki.

Henryk Worcell

DANUTA GODLEWSKA

W OCZACH NATURALISTY

Ostatnio wydana książka Pięta (ka*) zawiera szereg opowiadań powstałych — jak zaznacza autor we wstępie — w różnych okresach życia, od prac najdawniejszych (rok 1930) aż do utworów z roku 1945: „Tworzą one niejako wybór moich utworów napisanych prozą”.



Stanisław Pięta

Zestawienia tego rodzaju są zazwyczaj dobrym obrazem linii rozwojowej pisarza. Utwory chronologicznie pierwsze w tomie opowiadań Pięta (autor niemal całkowicie zachowuje w zestawieniu opowiadań dość rzadki, a przejrzysty układ chronologiczny), takie jak opowiadanie tytułowe „Ostatni półkos”, czy zwłaszcza „Ślepe żywioły”, powstałe w okresie dwudziestolecia międzywojennego, pozostają pod względem artystycznym i ideologicznym całkowicie w kręgu burzycyjskiej literatury „literatury o wsi”. To sprowadziło Pięta albo na monowoc „opowiadania o aurze wybitnie literackiej” (?), jak w „Ślepych żywiołach”, albo do wystylizowanego obrazka jakim jest drugie z wymienionych opowiadań. Pięta, zwracając się do czytelnika skłonności do naturalizmu, nie ustrzegł się rozwiązań typowych dla dekadentkich, burzycyjskich kierunków literackich, stąd pochodzą owe „wybitnie literackie „Ślepe żywioły”.

Opowiadanie to jest typowe dla marności schyłkowej literatury mieszczańskiej.

Podstawowy konflikt utworu zbudowany został w oparciu o burzycyjski schemat „psychiki chłopca”: demoniczna drapieżność w walce o ziemię i powodowanie się „ciemnymi instynktami”. Psychologiczna analiza biologicznej nienawiści starego chłopca — podpalacza synowskiej zagrody jest jednym ośrodkim zainteresowania pisarza. Dominacja psychologizmu w opowiadaniu nie tylko przesłania i wykrzywia obraz wsi i podstawowych problemów jej społecznego losu, nie tylko zaciera wszelkie konflikty klasowe w środowisku, ale uniemożliwia też stworzenie realistycznego obrazu rozkładu rodziny kułackiej. Sprawy rodziny Dąbków zostały sztucznie wyizolowane z całokształtu życia wsi i jej społecznego układu, a nawet schodzą na dalszy plan wobec drobniarogowej analizy pierwotnej nienawiści Kaźmirza Dąbka i spraw jego sumienia — (w pierwszej redakcji opowiadanie nosiło tytuł „Sumienie”).

W żadnym z późniejszych opowiadań Pięta nie obarczony już co prawda balastem psychologizmu, nie można znaleźć realistycznego obrazu wsi. Opowiadania stają się naturalistycznymi obrazkami, obejmującymi małe wycinki życia, dalekie od typowości. Wybór ich niejednokrotnie podyktowany został wadliwym „egzotykiem” wiejskiej. Tak krótka forma literacka, jaką posługuje się Pięta, nie pozwala — to prawda — na wszechstronne nasświetlenie poruszanych zagadnień. Z drugiej jednak strony daje to możliwość zwartej, a tym samym bardziej wyrazistej konstrukcji. Pięta rozciąga się w nie znaczących szczegółach, wybiera tematy atrakcyjne dla pisarza naturalisty, pozwalające zagłębić się w rozbudowanie nieważnych epizodów „potocznej życia”.

We wstępie autor sam podkreśla faktograficzny charakter niektórych swoich opowiadań (np. „Ostatni półkos”), co do innych jednak stwierdza, że „są to rzeczy o akcentach już wybitnie społecznych i krytycznych”. Trzeba jednak bliżej sprecyzować pojęcie owej „krytyki”, przejawiającej się w niektórych opowiadaniach tomu. W każdym wypadku nie jest ona oparta na właściwej ocenie klasowej sytuacji biedniaka i średniaka w systemie kapitalistycznym, nie prowadzi też do wniosków rewolucyjnych. Wbrew twierdzeniom autora, rozgraniczającego swoje opowiadania na „faktograficzne” i „społeczno-krytyczne”, podział taki nie jest w tym tomie istotny. W opowiadaniu „Ostatni półkos”, zakwalifikowanym jako faktograficzne, znaleźć można jakieś niezbyt mocno sprecyzowane przeciwieństwo interesów kułaka i biedniaka, przy czym w opowiadaniach zaliczonych

*) Pięta Stanisław: „Ostatni półkos”. Wydawnictwo Ludowe, Warszawa 1949.

do drugiej kategorii problem ten nie występuje zupełnie. Jest konflikt z dworem („Strajk fornalni”), („Folwarczni emeryci”), jest problem długi awansu społecznego, zamkniętej dla chłopskiego syna, drogi szkarłatowej zresztą w bardzo ostrym tonie („Korepetytor”), nie ma zaś nigdzie rzetelnego, klasowego obrazu wsi. Bohaterowie opowiadań cierpią często na inteligenckie przesady wrażliwości, są wyobcowani z wiejskiego środowiska, nie mogą stać się pełnowartościowymi reprezentantami wsi biedniackiej, a w części i średniackiej, która nurtowała podówczas nastroje buntu i gniewu.

Więć polska lat trzydziestych, lat ciężkiego kryzysu ekonomicznego i skrajnej nędzy chłopskiej, w strajkach, zjazdach, nawet wystąpieniach zbrojnych manifestowała swą nienawiść do faszystowskiego regimenu sanacyjnego i rozgorczyła z powodu własnego poniżenia i wyniszczenia ekonomicznego. To rewolucyjne wrzenie dołów chłopskich, hamowane ugodową, zdradziecką polityką prawniczych przywódców ruchu ludowego znalazło odbicie w powieściach przedstawicieli tzw. „literatury proletariackiej”, stojących na pozycjach marksistowskich i rewolucyjnych. Nie potrafiła jednak stworzyć właściwego obrazu życia i dążeń biedniackiej i średniackiej wsi dwudziestolecia grupa pisarzy pochodzenia chłopskiego, związana silnie lub luźniej z ruchem ludowym, nie wykraczająca w widzeniu spraw politycznych wsi poza ideologiczne tendencje, szerzące się wówczas w środowiskach działaczy ludowych, zwłaszcza młodzieźowych przywódców „Wici”. Agraryzm, kierunek, który pod pokrywką hasła antykapitalistycznego, usiłował wykopnąć przepaść między dążeniami dołów chłopskich a ruchem robotniczym szerzył zamęt ideologiczny wśród ludowców. W tych warunkach nacisk ideologiczny burżuazji, wpływ schematów literackich powieści mieszczańskich z latwocią sprowadzał na manowce pisarzy chłopskich. Nie więc dziwnego, że w utworach Pięta z lat trzydziestych wieś żyje odrębnie, swoistym życiem, jako wyizolowana ze społeczeństwa grupa, nie mająca żadnych związków z resztą kraju. Można wręcz zaobserwować wyraźny wrogi stosunek do miasta jako źródła zła, równie szkodliwego dla wsi, co i pański dwór. Pięta nie widzi zasadniczego podziału klasowego, nie widzi żadnego związku z proletariatem miejskim. Nienawiść do miasta zagradza Piętaowi drogę do zauważenia sojusznika na tym terenie. Burżuazja, zła ziarno epoki, to według niego drobniemierzący filistrzy, skorumpowani, bezideowi urzędnicy sanacyjnego reżimu choć także (i to trzeba autorowi zapisać jako plus — prawnicowi przywódcy ruchu ludowego. Chłop Pięta, a niczym maszynobureca, nienawidzi narzędzia, którym posługuje się kapitalizm: warstwy urzędniczej. Miasto to dla chłopca z tomu Pięta przede wszystkim sanacyjny urzędy i drobni kapitaliści. Przy tym wrogim stosunku awans społeczny wyobraża sobie Pięta jako odejście ze wsi do miasta, awans zresztą niebywale utrudniony. Stąd może pochodzić gorzkość piętakowego „Korepetytora”, szarpającego się między nienawiścią do miasta a naturalnym zupełnie pragnieniem społecznego awansu.

Ten bohater Pięta jest bohaterem klasycznym, powtarzającym się bardzo często w mieszczańskiej literaturze okresu schyłkowego, bohaterem, zdystansowanym w wolnej konkurencji kapitalistycznej i co za tym idzie obciążonym całym właściwym człowiekowi, pozostającemu w tej sytuacji społecznej, balastem ideologicznym. Tu dochodzimy do charakterystyki drugiego z ujemnych momentów twórczości Pięta: umysłowość bohatera przynależy raczej do umysłowości klasy zstępującej, mimo pozorów buntu przeciw tej klasie. Olek Janus jest chłopcem słabym wewnętrznym, niewierzącym we własne siły, zupełnie nie przekonany o możliwości zwycięstwa nad klasą zniechęconą. Przytłaczony go pesymizm, tak charakterystyczny dla klas zstępujących, zupełnie brak określonej linii postępowania, doprowadzający go w końcu do kapitulacji.

Niejednokrotnie w pracach poświęconych przedwojennej twórczości Pięta podkreślano moment jego wyobcowania ze środowiska wiejskiego. Pięta jest istotnie klasycznym „inteligentem pochodzenia chłopskiego”, który uległ bardzo wyraźnie naciskowi ideologicznemu burżuazji w zakresie ujmowania problematyki wiejskiej.

Przejawia się to głównie w obrazie politycznego życia wsi dwudziestolecia. W opowiadaniach przedwojennych, zawartych w omawianym tomie, wieś obok odizolowania się od miasta nie przejawia zupełnie dążeń rewolucyjnych, nie dąży w celowy i świadomy sposób do celowych zmian na lepsze. Ludzie, którzy mogliby stać się nosicielami tych idei albo kapitulują bez walki przed panoszącym się powszechnie ziemi, Jak Olek Janus z opowiadania „Korepetytor”, albo w ogóle nie zdają sobie sprawy, że jakkolwiek opór jest możliwy. (Adam Gurdek z opowiadania ty-

tulowego), czy też wyrażają swój protest w sposób najzupełniej niewłaściwy, spaczony, jak Kaźmirz Dąbek z „Ślepych żywiołów”. Wymowa tych faktów jest z punktu widzenia warstw posiadających bardzo poprawna. Postawa człowieka widzącego zło, a nie znającego jego zasadniczych, społecznych źródeł, leży u podstaw błędów ówczesnej twórczości Pięta. Stąd też pochodzi niewłaściwa interpretacja literacka, maniera naturalistyczna, dominująca w każdym opowiadaniu, zwłaszcza z lat trzydziestych.

W późniejszej twórczości Pięta dokonywa się pewna zmiana na lepsze. Pierwsze zapowiedzi tej zmiany można zauważyć już w opowiadaniu z tego samego okresu co i „Korepetytor”, w „Porachunkach”. Bohater „Porachunków” umie już w jakiś sposób pokierować swoim losem, nie daje się zwać, z walki z otoczeniem wychodzi zwycięsko. Ale człowiek ten, Józef Polanski, jest sam. W jego działalności nie czuje się zaplecza klasy, chociaż mówi się o klasie. Józef jest jedynie świadomą jednostką, wyizolowaną ze społeczeństwa wiejskiego. Manifestacja w mieście odbija się dalekim tytułem echem, nie wiemy nawet, co to za manifestacja? W końcu Józef zostaje prezesem powiatowego związku „Wici”. Cel swój osiąga, ale jako wicarz z pewnością nadal będzie holdował izolacjonizmowi wsi, będzie toczył walkę o interesy wsi oderwanej od reszty świata, od interesów całej klasy robotniczej.

Niekiedy opowiadania z lat 1944 — 1945 są wyraźnym krokiem naprzód. Dwie prace z tego okresu wysuwają się na czoło całego zbioru: „Pierwsza orka”, opowiadanie dotyczące początków życia powojennego, zagospodarowania ziemi otrzymanej z reformy rolnej i „Strajk fornalni”, obrazek z życia przedwojennego. Obydwa opowiadania uniknęły zasadniczych braków, powtarzających się nagminnie w okresie poprzednim: pierwsze z opowiadań jasno określa klasową pozycję kułaka i biednego chłopca, drugie podkreśla łączność ruchu ludowego z międzynarodową sprawą proletariacką. W „Strajku fornalni” powtórzył się jednak i jeden ze starych błędów: po pacyfikacji wsi jedynym człowiekiem przejętym w jakiś sposób sprawą walki jest mały Franek, dociekający prawdy z ciekawości dziecka. Przywódca strajku wydaje się być jedną osobą świadomą wagi wydarzeń i pewną lepszego jutra. Reszta wsi stanowi masę zastęglą w b i e r n e j nienawiści.

Natomiast opowiadanie „Bitwa” jest zupełnie nieporozumieniem. O tak naturalistyczny, zgola paszkwilantcki obraz wsi trudno nawet w literaturze, stojącej otwarcie na pozycjach burzycyjskich.

Niewłaściwe podejście Pięta przejawia się nie tylko w doborze tematów i sposobie rozwiązywania poruszanych zagadnień. Spadek po burzycyjskim pojmowaniu literatury zaciążył również nad stroną formalną jego twórczości. Nieco patriarchalne widzenie wsi, jej egzotyka — zwłaszcza to ostatnie — świadczą o patrzeniu na wieś z pozycji inteligenckich. Wieś i chłop nie są z inną ziemi, czują i wyrażają swoje myśli w ten sam sposób co i reszta społeczeństwa, pomniejszają, rzecz prosta, zagadnienia gwary. Tymczasem w opisie wsi u Pięta natrafiamy czasami na ton liryczny i nastrojowy, na poetyzowanie wsi. Jakże nienaturalny jest mały chłopak wiejski, który zlamal kose bogacza pracując na jego polu, gdy przerażony perspektywą kilkunastu godzin odrobku za nią, upadający ze zmęczenia po całodniowej pracy, powtarza: „Koso, koso, koso, czemuś się zlamiał?” Trochę jak w upoetyzowanych partiach Kraszewskiego.

W wyniku otrzymania jeszcze jeden niezupełnie prawdziwy tom o wsi. Dawne opowiadania — interesujące niewątpliwie, jako dokument literacki epoki, nie uzyskały należytej przeciwwagi w pozycjach nowego, powojennego okresu twórczości pisarza, który podjął wysiłek zrewidowania ideologicznych założeń swej dotychczasowej pracy pisarskiej. Odbiło się to w poważny sposób na wartości ideologicznej i artystycznej tomu „Ostatni półkos”.

Danuta Godlewska

W poprzednim numerze

W N-RZE 41 tygodnika „Wies” z dnia 15.X.50 r.

L. Norkowski — Szkoły wyższe w pierwszym roku planu 6-letniego. W. Oga — Szkolnictwo dla pracujących. Z. Chyliński — Zakłamanie i prawdziwa Ameryka. Pierre Courtade — „Teoretyk” imperializmu amerykańskiego (II). J. Marszałek, B. Golebiowski, S. Skulski — Głosy czytelników o epice. A. Olecha, Z. Solarzowa — Wspomnienia o Broniewskim. J. Morton — W Gminie. J. A. Frasiak — Jeszcze trzy nie obeszły. S. Rogowski — Kampania — znaczy walka. M. Wilk — Wzrost Nr 7047. S. Skulski, S. Skrzydliński, J. Ziembka — Dyskusja o kadrach (III). R. Hladko — Takich będzie są miliony. P. Chmura — Rędy korespondentów. W. Borkowski — Polityczny teatr świetlicowy. 11 ilustracji 8 stron.

ANDRZEJ WASILEWSKI

Wokół epiki (5)

DWAJ POECI WORO SZYLS CY

Poezję Woroszylskiego — czołowego poety młodego pokolenia — od pierwszych wy-
stąpienia cechuje silne napięcie uczuć
rewolucyjnych, żarliwa wola
klas robotniczej, żywotnym sprawa-
m Państwa Ludowego. Woroszy-
lski — od pierwszych swoich
wierszy — pragnie być poetą par-
tyjnym, ostrym i niewzruszonym
politycznie zarówno w wierszach
satyrycznych (tomik „Weekend mi-
ster Smisha”), jak i lirycznych (to-
mik „Śmierci nie ma”).

Następne chronologicznie utwo-
ry — poematy: „Świerczewski”,
„Noc komunarda” i publikowany
w prasie „Świt nad Nową Hutą”
nie zmieniają tej zasadniczej drogi
poetyckiej autora. Jeżeli jednak za-
stawiamy wiersze tomiku „Śmierci
nie ma” z fragmentem któregoś z tych
poematów — odmiennie stylów
poetyckich jest uderzająca. Nie są
to oczywiście różnice spowodowane
odmiennością gatunków literackich:
tam — krótkie, zamknięte ca-
łości liryczne, tu — poemat epiki
o szerokim rozmachu. Tomiki te
wyznaczają drogę ewolucji arty-
stycznej poety. Postaramy się udo-
wnić, że w początkach swoich
droga ta poczyniała od niedobrego
spadku poetyckiego, od złych tra-
dycji pewnych nurtów artystycz-
nych, które w naszym dwudziest-
leciu pragnęły uchodzić za słowo
rewolucji. Wspaniałe wzory poe-
zyi Majakowskiego, jej dynamicz-
nej formy, bogatej i ostrej metafor-
y, jej natchnionej bojowości —
spłoty się w pierwszych wierszach
Woroszylskiego z przejętymi z bez-
pośredniego zaplecza literackiego
manierami stylowymi. W tomiku
„Śmierci nie ma” ten nieszcześli-
wy związek zniszczył życie wielu
wierszom. Te, które ocalały, przy-
znają się do pokrewieństwa tylko
z Majakowskim.

POD ZNAKIEM NIEPRZEJ- CIĘŻONYCH TRADYCJI

Jeżeli przypomnieć niektóre to-
miki poetyckie pierwszego okresu
dwudziestolecia — wiersze „futura-
listów” — tych mieszczan-
skich radykałów z urojenia — to
bałast pewnych elementów ich poe-
tyki dostarczymy w pierwszych
wierszach Woroszylskiego.

Co charakteryzowało te poetykę?
Anarchizm składni, szokująca
krzykliwość metafor, wulgarnie
drastyczność „moralnych” zwro-
tów, nonszalancja odautorskich

wstrętów. Miało to wyrażać „rewolu-
cyjność” wierszy. Czym zaś było
w istocie?

Produktom drobniomieszczańskie-
go anarchizmu, językiem poetycz-
kim lumpeninteligencji, która wul-
garnym, buntowniczym forma-
lizmem, nonszalancją kreowa-
niem swojego jednostkowego
udziału na „dominancie wszelkich
wydarzeń rewolucyjnych — nadra-
biała własną niemoc ideową, brak
rozumienia świata, niezdolność
literackie polityczne. Wspólne doświ-
dzenia literackie i polityczne, mi-
styfikowane „radykalnych” nur-
tów nazwać możemy ekspresjoniz-
mem.

Oczywiście nie ma żadnego rów-
nania między tą dekadencją poe-
zyi a postawą ideową i artystyczną
Woroszylskiego. Najgorsze, najbar-
dziej obciążone elementami forma-
lizmu i „moralności” jego wiersze
(jest ich przecież niewiele: „Dnie-
prostroj”, „Na odwrocie nekrologu
Wincentego Pstrowskiego” i —
wbrew całemu ludzkiemu ładun-
kowi „Rosa Lee”) są przecież od
niej najzupełniej różne jakościowo;
świadczą co najwyżej o niedosta-
tecznym opanowaniu warsztatu
poetyckiego szczerze rewolucyj-
nego poety, mówią o uleganiu złym
wzorom stylowym.

To trzeba koniecznie podkreślić,
aby nie było nieporozumień: mó-
wiłmy tylko o ciężkiej zbrodni ma-
nierz stylizacyjnych.

Kiedy w wierszu „Rosa Lee”
czytamy:

„Murzyn Wallace Lee, lat
piętnaście, kawaler,
Murzyn Sammie Lee, lat
trzydzieści, kawaler,
za mordstwo z premedytacją
zostają skazani
na...”

Życie jest piękne.
O, życie jest bardzo piękne “ etc.
to w tej wykrępowanej sentencji
wyroku dźwięczą nam formalis-
tyczne sztuczki takiego np. Miodo-
żenica (z pierwszych tomików).
Lub gdy w tym samym wierszu
poeta powtarza:

„przrzekali robotnicy, że
Sammie Lee,
przrzekali robotnicy, że
Wallace Lee,
przrzekali robotnicy, że
Rosa Lee
na czerwonym sztandarze będą
żyli”.

to możemy w tym widzieć gadul-
stwo i nieporadność poetycką. Ale
ta nieporadność była kiedyś świa-
domą kokieterią (szokującą „pro-
stota”): np. Czyżewski. Również
pod tym względem znamienity jest
„Dnieprostroj”, zaczepiony już w
recenzji J. Preger za bezsensowność
metaforyki:

„Kiedy spała turbiny
acetylenem zdań,
obecni, zamiast zdziwionych
bąbelków powietrza,
gładko lykali tomiska ekonomii
politycznej.
Czasem przerywał montaż.
Granatowa policja
Wołła Szczepka i Tońka.
W cholerycznie wesółym
filmie „Będzie lepiej” — nie
przrzekali nie.”

Czy w tej zadziornej metaforyce
i w tym „cholerycznie” morowym
języku nie słychać tonów B. Ja-
sińskiego, który z tych składni-
ków utworzył sobie kiedyś kanon
rewolucyjności?

Gdy w wierszu „Na odwrocie ne-
krologu Wincentego Pstrowskiego”
wspomnieliśmy osobnik wtrąca się ze
swą natrętną, „programową” non-
szalancją:

„ale Pstrowskiego nie dobudzi —
czy można dobudzić zwłoki?
Można!
Przepraszam, niech się pani
odsunie,
to nie pani specjalność,
pani czyta tylko „Głos Anglii”
i nie wie, że...
Ale proszę posłuchać...” etc.

to tak, jakbyśmy słuchali antyfi-
lerskiego Sterna (z pierwszych to-
mików), który swą nerwową, „re-
wolucyjną” obcesowością („Jestem
niewychowany!”) raz straszliwie
w... „dobry ton” poezji i konwe-
nansu towarzyskiego.

Uwag tych *) i analogii nie czy-
nimy dla samego autora. Ten okres
jego twórczości uważać możemy za
skończony. Wymienione poematy
świadczą o otrząśnięciu się autora

*) Jeszcze jedna uwaga, która
musi na razie jak zresztą i pozos-
tałe, pozostać krytyczną impresją:
podajmy się wyprawa do szeregów
analogii stylowych między „Balla-
dą o byłym sołtysie Janie” a po-
łączonym dziedzictwem „ludo-
wych” wierszy Miodożenica i „Sło-
wa o Jakubie Szeli”.

z tych fatalnych manier stylistycz-
nych, ciężących dotkliwie na kon-
sekwencji ideowej wierszy. Kryty-
kę tę przeprowadzamy natomiast
ze względu na żywotność i atrak-
cyjność tych manier u poetyckich
debiutantów. Korespondencja każ-
dego chyba z naszych czasopism li-
terackich wykazuje szerzenie się
tej stylistycznej zarazy wśród po-
czątkujących autorów.

NA LINII DOBRYCH TRADYCJI REWOLUCYJNEJ POEZJI

„W poemacie o „Nocy komunar-
da” — pisze we wstępie autor —
chodzi nam nie tylko o postać Ja-
rosława Dąbrowskiego — choć
ważne i wzruszające są losy tego
rewolucjonisty polskiego, poprzed-
nika Waryńskiego, Dzierżyńskiego
i Buczków. Chodzi o ów promień
nadziei, o którym mówił Vermorel,
a słuszniej — promień niezłomne-
go przekonania o zwycięstwie
sprawy, promień, który jest osi-
ą historii walczącego obozu postę-
pu”.

Jest to motyw w twórczości Wo-
roszylskiego nie nowy. Akcent ty-
tułowy tomiku „Śmierci nie ma”,
główny akcent kompozycyjny poe-
matu „Świerczewski” podkreślały
te zasadniczą myśl poetyckiego autora.

W swoich manierycznych wiers-
zach konkretyzował ją jednak
Woroszylski nieudolnie, często
osiągając niezamierzony efekt ko-
szmaru:

„Pstrowski toczy się czarny,
chropowaty, ciężki —
na wózkach, na wagonach,
określach.”
„(Na odwrocie nekrologu...)”
„Bagatelka!
Sam znalazłem Greka —
wykończył go trzykrotnie
króla Pawła żołnierze,
nawet duszy jego
klecha
dał paszport do piekła,
a on żyje! Po prostu: nie umie
nie żyć!”
„(Jeszcze o nieśmiertelności)”.

Zanotujmy: nonszalancja „wła-
snego udziału” („sam znalazłem...”),
„moralność” języka („Bagatelka!”
„Wykończył go...”), w sumie —
przeraził w grzyz w stosunku do
tematyki wiersza.

Ale już w „Świerczewskim” umie-
poeta wcielił tę myśl w prostą i
piękną formę, gdzie każde słowo

odmierz szmat najwspanialszych
doświadczeń rewolucyjnej klasy:

— Śmierć żołnierza,
Śmierć komunisty
nigdy nie była samotna.
Kochałem sprawy i ludzi,
zostają sprawy i ludzie,
są ze mną aż do końca,
dlatego nie trudno umierać.
Kto o wolność walczył, był ze
mną,
niosłem wolność niewolnym
ziemiom,
gdzie się żyło, gdzie się
walczyło,
każda ta ziemia jest ze mną.”

W „Nocy komunarda” ten stale
powracający motyw poetycki: hi-
storyczna łączność rewolucyjnych
dążeń proletariatu, spadkobierstwo
myśli i zapładniająca moc wzorów
rewolucyjnego mełstwa — uzyska-
je szerokie tło historyczne. W
wierszach poprzednich — jednost-
kowe życie komunisty świadczyło
o historii klasy robotniczej, tu —
cała jej historia przyczyna zos-
tała, aby świadczyć o treści jego ży-
cia.

W noc umierającego komunarda
„mkną lata, wiatry, fronty” i hi-
storia ukazuje etapy przyszłych
zwycięstw, w których niezmienne
żywym jest bohater Komuny. Eta-
py te — to prawidłowy rozwój hi-
stории: poetycko — konkretne
syntetyz kapitalistycznego XIX wie-
ku, narastania sytuacji rewolucyj-
nej w Rosji, wzrastających
sprzeczności imperializmu uzasad-
niają historyczne i poetyckie zna-
czenie życia i śmierci Dąbrowskie-
go. Szczególnie udaje się Wo-
roszylskiemu poetycka konkretyza-
cja sytuacji przedrewolucyjnej Ro-
sji, drzemającej w „serdecznym lu-
dzie” siły wyzwolenia, „usobno-
nej w oswojonych Dąbrow-
skiego — Nadzieje”.

Główna myśl poematu — ów
„promień niezłomnego przekonania”
przyswiecający śmierci Dą-
browskiego — rozprawiona wy-
czerpująco w materiale historycz-
nym — jest nadto doskonale wy-
puklona kompozycyjnie. Przewija-
jący się refren:

„Wystreli brask i wieki runa,
zgasnie historia, ból ustanie.
Nad Wisłą, tak jak nad Komuną,
Grzmi hymn niezłomnej
rewolucji.
Wykłęty powstań ludu ziemi!”

„Wystreli brask i wieki runa,
zgasnie historia, ból ustanie.
Nad Wisłą, tak jak nad Komuną,
Grzmi hymn niezłomnej
rewolucji.
Wykłęty powstań ludu ziemi!”

Ta pomysłowa kompozycja poe-
matu, zespala — poprzez łączącą
wiersz refren — śmierć komanda
ze zwycięstwem polskiej rewolucji.
Tak forma poetycka dyskretnie i
przejmująco wypukla ideę histo-
ryczną poematu.

Woroszylski doskonale podchwyt-
tuje możliwości zbliżeń, jakie daje
poetzi historia: w wojnach imperia-
listycznych „słychać tupot Wersa-
lczaków”, „dziewiętnastowieczna Eu-
ropa „wrze i kipi jak kotłownia Wa-
ta”, „Nadzieja oswabiała Dąbrow-
skiego a jej wnuk — Warszawę w
r. 1945, świadcząc o niezmiennym
braterstwie rewolucyjnego ludu
rosyjskiego i polskiego.

Bogactwo i różnorodność histo-
rycznych treści uprawnia autora
do wykorzystania szerokiej skali
środków formalnych: od doskna-
łego, ujmującego prostotą języka
dialogu zrytmizowanego (rozdz. V)
do nastrojowego, grającego i alite-
racji „pieśniową” rytmiką (rozdz.
VI, gdzie te sposoby formalne od-
dają „śpiewność” rosyjską, do
onomatopiecznej metaforyki (rozdz.
III, nastrojowo oddającej przy-
gniatającą atmosferę powstania-
wych lat „kraju nadwiślańskie-
go”. Jedynie rozdz. IV „Zdrada”
tonie w niedobrych tradycjach eks-
presjonistycznego chaosu.

Najlepsze fragmenty (rozdz. XI)
rytmiką, nasyceniem konkretnymi,
historycznymi treściami, przeży-
stą a niebanalną symboliką przy-
pominają doskonale wiersze Bro-
niewskiego.

„Dwa Woroszylsy” otrzymują
podsumowanie: wiersze, które
miały być wzorowane na dyna-
micznej, niosącej rewolucyjny fa-
dunek, frazie Majakowskiego, by-
ły — (przeważnie) bo przecież są
wśród nich i tak udane wiersze
jak „O rówieśnikach krótko” —
„Poezja”, „Pamięci kolegów” —
wykrzywnym jej powtórzeniem,
uwikłanym w bałast ekspresji-
stycznej tradycji. Dojrzałość poe-
tycka Woroszylskiego, zdolność
wyrażania rewolucyjnych treści w
pięknej opanowanej, adekwatnej
formie wiąże się z podjęciem sze-
rokiej tematyki epickiej.

Andrzej Wasilewski

KAZIMIERZ URBĄŃSKI

W A L K A O K A D R Y

Na czym polega sens porawdzo-
nej w Polsce Ludowej polityki re-
krutacji na Wyższe Uczelnie? Prze-
de wszystkim na szerokim oparciu
się o młodzież robotniczą i chłop-
ską, ponadto skutecznym likwidowa-
niu burżuazyjnych metod selek-
cjonowania i odsiewu młodzieży.
Obserwowaliśmy zdziwienie chłopca,
który wbrew twierdzeniom jakie-
goś wykładowcy nie mieszcząc
nie spotkał dziś na swej drodze
do Wyższej Uczelni psychologicz-
nej pracowni, która „nieomylnie”
określa stopień inteligencji i
przydatności zawodowej kandyda-
ta. Znał się dobrze burżuazyjne
sposoby rzucania kłód pod nogi
młodzieży robotniczo - chłopskiej,
czyniąc stosowanie psychologicz-
nych, fizjologicznych, technologicz-
nych metod badania, w celu prze-
konania jej o niższości i małej in-
teligencji w porównaniu z posiada-
jącymi cenzus majątkowy czy też
„błędnokrwistymi”. Znał się do-
brze przedwojenne porządnie z ko-
lorowymi kółkami, magicznym abe-
cadem i całym arsenalem środków
służących do wmówienia młodzie-
ży ludowej jej intelektualnej „bez-
wartościowości”.

Rewolucyjnie przekształcane,
niejako od nowa budowane powo-
jenne szkolnictwo wyższe chlubi
się wspaniałymi osiągnięciami —
umasowaniem i zmianą składu
społecznego studentów. Przed woj-
ną liczba chłopsko - robotniczej
młodzieży nie przekraczała 10 proc.
ogółu studentów. W roku 1949/50
urościła do 50 proc. w tym na pier-
wszym roku studiów do 56 proc.
Przeszło 140 proc. wzrost liczby
młodzieży akademickiej świadczy
o zerwaniu z ekskluzywnym cha-
raktem nauki kapitalistycznej.

W 1945 roku władza ludowa tro-
skliwie zabiegała o to, by mło-
dzież szkolna w momencie zwięk-
szonego napływu znalazła odpo-
wiednie pomieszczenia, pomoce
naukowe i wykwalifikowaną kad-
rę nauczycielską. Zadanie to zo-
stało spełnione już w tak poważ-
nym stopniu, że w planie 6-letnim
rysując się jasno droga szkolnictwa
podstawowego. W ostrej walce kla-
sowej wykruwa się nowa szkoła
średnia coraz bardziej wolna od
odstraszających przykładów bur-
żuazyjnego nauczania, drzwi któ-
rej coraz szerzej stoją otworem dla
młodzieży wiejskiej i robotniczej.
Powstały warunki bezprzykładne
w Polsce rozwoju szkolnictwa
wyższego.

Znamiennym objawem pierwszej
fazy był żywiołowy napływ mło-
dzieży, niedostateczne stosowanie

klasowej selekcji przy przyjmowa-
niu kandydatów. Masowy napływ
młodzieży robotniczo - chłopskiej
upałaj cyframi, wstrząsł plastycz-
nym obrazem likwidowania wielo-
wiekowych krzywd, nie mógł jed-
nak przesłonić równocześnie na-
pływu młodzieży obcej klasowo na
Wyższe Uczelnie. Praktycznie to-
czyła się walka o miejsce na wy-
szej uczelni, jakkolwiek młodzie-
ży robotniczo - chłopskiej dano w
tej walce więcej szans. Polityka
„otwartych drzwi” stawała się co-
raz bardziej sprzeczna z koniecz-
nością tworzenia nowej, ludowej
inteligencji. Stypendium państwo-
we nie mogło stać się łupem fa-
brykanckiego dziecka.

Zdajemy sobie sprawę, że reali-
zowanie planu 6-letniego może na-
stąpić wyłącznie w warunkach
wzmocnionej walki klasowej, w wa-
runkach precyzyjnego klasowego
doboru kadr, to znaczy skutecznego
eliminowania kapitalistycznego
„narybku”. Fakt, że np. zapotrze-
bowanie 6-letnia na specjalistów
z technicznym wykształceniem wy-
nosi około 53.000 osób, z tego Wy-
ższe Uczelnie drogą normalnych stu-
diów muszą wyszkolić ponad
45.000, tj. około 85 proc., tak jak
cały urzekający plan 6-letni, zobo-
wiązuje do wielkiego wysiłku i
realizowania klasowych założeń re-
krutacji.

Chciałbym przedstawić fragment
przygotowań weryfikacyjnych —
prace przedegzaminacyjnego kur-
su Z.A.M.P. na odcinku łódzkim.
Mamy za sobą tegoroczną pracę
gimnazjalnych komisji rekrutacyj-
nych, zakończyły kursy przed-
egzaminacyjne, egzaminy wstępne,
ustaliliśmy ostateczne listy słucha-
czy pierwszych lat wszystkich
Wyższych Uczelni.

380 osób przygotowywało się do
studiów na Politechnice, 220 na
Uniwersytecie, 350 na Akademii
Medycznej, 110 na Wyższej Szkole
Ekonomicznej i 90 w Państwowej
Wyższej Szkole Pedagogicznej. 78
proc. ogółu słuchaczy stanowiła
młodzież robotniczo - chłopska, do-
kładniej — 53 proc. stanowili po-
chodzący ze środowiska robotni-
czego, a w 24 proc. chłopskiego. In-
teligencja stanowiła 21 proc., inne
grupy i proc. Stosunkowo niski
procent młodzieży chłopskiej u-
kształtował stosunek młodzieży
miejscowej do zamiejscowej. Mia-
nowicie z samej Łodzi uczestniczy-
ło w kursie 43 proc., z terenu na-
tomiaś 53 proc. młodzieży. Kobi-
ety stanowiły około 40 proc. ogółu
słuchaczy, przy czym znaczącym

faktem jest nieproporcjonalny
układ w poszczególnych grupach.
Jeśli wśród 50 osób przygotowują-
cych się do studiów farmaceutycz-
nych było tylko 1 mężczyzna, to
wśród 80 osobowej grupy mecha-
nicznej i podobnie licznej grupy
elektryków były 3 kobiety... Znac-
nie różnice wieku tak często
obserwowane w poprzednich latach
stały się rzadkością. W tym roku
ogromną większość stanowili do-
piero co pełnoletni absolwenci
szkół średnich.

Patrząc na tę młodzież dostrze-
gało się wyraźnie odcinające się do
siebie grupy. Łączenie różnych śro-
dowisk i atmosfer wypukliło ist-
niejące różnice i braki. Henryk
Woźniak — przodownik pracy spo-
łecznej z kółkowskiego gimna-
zjum przekonał nas na kursie, że
ma znaczne braki w wiedzy. Stara
się teraz wyteńczyć siły nadrobić
w Zespole Samopomocy w Nauce
to wszystko, co stanowi łączy-
stałość przedwojennej nędzy jego
rodziców. Jeszcze się mści na Wo-
źniaku okres przedwojennej i wo-
jennej niedoli okres, w którym nie
zawsze miał parcie spódnie by
pójść do szkoły, w którym jego

kontakt z kulturą sprowadzał się
do niedzielnej możliwości wystawa-
nia przed kinem. Utrwalił mi się
skupiony wyraz twarzy kiedy słu-
chał wykładów, rozwichrzona pło-
wa czupryna i starannie podwinie-
te rękawy Z.M.P.-owskiej bluzy.
Nylonowy pasek przyszyty do
„Omego” na rękę obok siedzącego
Jacka świetnie harmonizował z je-
go samodzielną marynarką. Ale
nie tym uderzał mi się Jacek —
znał on bardzo dobrze przedmiot.
W okręgu formułowanych wypo-
wiedziach nigdy nie znać było nie-
pewności czy lęku. Przecież ojciec
Jacek — lekarz troskliwie dbał o
edukację swego jedynaka. W tej
samej grupie znajdował się Józef
Karasek ze Spółdzielni Produkcyj-
nej w Gądkówku — uparł się, ko-
niecznie chce zostać inżynierem.
Wszyscy trzej są w jednym wieku,
mają zbliżone oceny matur, wszy-
scy są Z.M.P.-owcami, a jednak...

Istnieją trudności w klasowym
przewartościowaniu napływającej
młodzieży, są one tym większe, że
już na wstępie popełniliśmy szereg
błędów i niedociągnięć.



Fot. St. Dziubiński

8 października 1910 roku zmarła we Lwowie Maria Konopnicka — pisarka ludowa. Ludowa — w najbardziej nowym i nowoczesnym znaczeniu tego słowa. Wiedząca słuszną intuicją klasową sięgnęła i po twórczo realistyczne swoich dzieł i po formę — do ludu — interesując się życiem „wydziedziczonych” w ustroju kapitalistycznym — fernali, wyrobików wiejskich i miejskich, robotników fabrycznych. Jej „obrazki”, nowele i piosenki w najbardziej twórczym okresie życia — noszące wyraźne cechy ideologii antykapitalistycznej — ludowe w formie — posiadają zdolność powrotu „do ludu”, stawiana się jego wtórna własnością. W 40-lecie śmierci Marii Konopnickiej przypominając drukowany w nr 35 „Wsi” szkic o jej twórczości — zamieszczamy fragmenty listów poetki do Orzeszkowej, zawierające pewne rysy charakterystyczne jej światopoglądu i drogi życiowej — tej w najlepszym „sensie” emancypantki pozytywistycznej — oraz wybór poezji. Minione 40-lecie sięgnąć do twórczości Konopnickiej jako do jednego z ogniw niezbyt przecięt bogatej tradycji polskiej poezji realistycznej i społecznej.

URYWEK

Nie wam, słowiki, wtórczy przychodzę,
Nie z tobą, różo, kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku...

Nie z tobą w blaskach budzić się, słońce,
Co świecisz równie cicho i jasno,
Czy duchy płoną — czy w walce gasną...
Lecz z tobą płakać — człowieku!

CAPRI

Capri? Widziałam. Świat tam wykuty ze skały.
Brzeg dziki, poszarpany, samotny i pusty.
Pół nagi, skrawym szmatem przewiązany chusty.
Rybak z portu Careny ogień pali mały.

Trzeszczą kolczaste suchych aloesów chrusty,
Gruby liść zerem tleje, jak papirus biały,
Na którym dawne wieki we wstrętem spisały
Tyberiuszowej krwawy pamiętnik rozpusty.

Siadź w łodzi, przy ognisku, na sieci tych pęk,
Nad ciszą modrej toni zniź czoło na rękę
I słuchaj, co ci prawi rybak drżący, stary...

Tyberiusz?... Augustus?... Nie, on o nich nie wie!
Lecz patrzaj mrocznym okiem w gasnące zarzewie,
Głód i nędzę swą skarży... To jego cesary!

WOLNY NAJMITA

Ważką ścieżką, co wieje się wstęgą
Między półkami jęczmienia i żyta,
Szedł błądy, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takim urągaliwem!
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywym!

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwie wydała
Słomę a plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wynany nędzarz nie żegnał nikogo...
Tylko garść ziemi zwałował do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu wschód wita...
Stań i otarł łzę poła swej świty,
Wolny najmita.

Wolny, bo z wieków, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy.
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy...

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucił mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nie mu nie ciąży na świecie —
Kosa ta chyba, co zwisa z ramienia,
I nędzy łachman sukmany na grzbiecie
I ból istnienia...

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...
Pies nawet stary pozostał u płota
I z cicha wyje...

Wolny! — Wszak może iść, albo spocząć,
Albo kłaść z zgrzytem tłumionej rozpacz,
Może oszaleć i płakać i śpiewać —
Bóg mu przebaczy...

Może zastygnąć, jak szrony, od chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szalenii,
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nie się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki
I mokra łączka i mszary i wrzośy
Obsadzi urząd... podatki! podatki!
Ty idź do kosi!

Idź, idź! Oplatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosa
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosi!

Czegoż on stoi? Wszak wolny, jak ptacy?
Chce — niechaj żyje, a chce — niech umiera!
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera...

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie pyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

O ZIEMIO!

Gdzie jest ten grzmot wiosenny i gdzie jest ta burza,
Co wstrząsnie twoje doliny i twoje podgórze,
O ziemio!

Gdzie są te błyskawice, co rozświeca ciemnie
Dni przyszyłych, których brzasku świat czeka daremnie,
O ziemio!

Gdzie nawalność, co przejdzie po tobie wichrami
I zetrze z ciebie krzywdy i krew, co cię plami,
O ziemio!

Gdzie piorun, który zniszczy bezprawie twe stare
I na ołtarzach ducha zapali ofiarę,
O ziemio!

Gdzie oczy, co oglądać będą twoje rano,
Gdy wyjdiesz w tęczę światła, łez dżdżami splukana,
O ziemio!

I gdzie ta, która pieśnią wybuchnie swobody,
Lutnia, milcząca dzisiaj pomiędzy narody,
O ziemio!

Marla Konopnicka

Listy Marii Konopnickiej do Elżbiety Orzeszkowej z r. 1879 pochodzą z okresu, w którym poetka stawiała pierwsze kroki w karierze literackiej, a swą dawną koleżankę z pensji traktowała z szacunkiem nie tylko jako już głośną sławę literacką, ale jako mentorkę, mogącą doświadczeniem swym ułatwić jej trudną drogę samokształcenia i szukania własnej drogi twórczej.

Początki biografii literackiej Orzeszkowej i Konopnickiej są ogólnie podobne, egzemplifikują typowe zjawisko społeczne — kształcenie się inteligencji mieszczańskiej w wyniku procesów degradacji dworu ziemiańskiego.

Cenniejsze elementy spośród „wysadzonych z siodła” nobilitów szlacheckiego w zetknięciu z daniami ideologicznymi jakie stawał kapitalistyczny przełom w życiu zafacowanego raju feudałów podejmowały ostrą krytykę swej klasy matczynej, stawały w pierwszym szeregu chorągiew burzowego postępu. Postęp ten w początkach lat siedemdziesiątych przeżywał krótkotrwały okres swego rozwoju w walce pozytywistów warszawskich pod sztandarami racjonalizmu, kultury nauki, swobody myśli, walki z klerykalizmem i obskurantyzmem ziemiańskiego konserw.

Dwie najwybitniejsze pisarki polskie tego czasu — Orzeszkowa i Konopnicka, które przeżyły w podobny sposób znużenia i obrazy dla ciemnej kottuńskiej atmosfery ziemiańskiego salonu i w chaotycznej, lecz gorliwej pracy samokształceniowej, wchłaniały tradycję polskiej i europejskiej myśli racjonalistycznej i materialistycznej, wzięły poważny udział w tej walce. Orzeszkowa torowała na wielu odcinkach drogę bojowemu pozytywizmowi, Konopnicka wystąpiła w okresie, w którym poczęły się ujawniać oznaki załamania się postępowości mieszczańskiej.

Niemniej wystąpiła ostro w obronie swobody badań naukowych i wyznawania materialistycznego światopoglądu, ostro potępiała obskurantyzm kościoła, fanatyzm religijny hamujący i przesłaniający swobodę myśli. Trzy fragmenty dramatyczne pt. „Hypatia”, „Wesaliusz” i „Galileusz” — „historia meczetystu poniesionych za wolność myśli i sumienia” — jak pisał Orzeszkowa wywołały zachwyt w obozie postępowym, ale też i wiele deliberacji w związku z kwestią ich wydania. Prasa konserwatywna

Pierwszy miesiąc akcji wyjazdowej w teren: gdzie niedziedzie płaty śniegu zaciągają szro-brudną ziemię; przede mną szmat pola; dalej — szereg domów Siedlęcina, za nimi marcowo — monotonne stoki wzgórz.

To tylko z daleka zdawało się, że będę brodził po błocie: do wsi dostaję się nawet nie zabłocony. We wsi pytam o dalszą drogę do PGR. Za parę minut staje przed jakimiś długimi, pogorzecznymi murami: spalona, olbrzymia stodoła i, widać po murach wewnętrznych, że był tutaj i spichlerz. Równomiernie od tych murów, po drugiej stronie podwórza wznoszą się takich rozmiarów stajnie: schludnie, porządnie utrzymane.

Na lewo, w dali podwórza brama wjazdowa i obok duży dom, jakiś warsztat i kuźnia; na prawo maszynowy gmach zarządu PGR na tle szerokiej, malowniczej i romantycznie wyglądającej baszty. Jest to zabytkowa wieża z XIII w.

Cały ten kompleks zabudowań obmywa półkolistą fosą, pozostałość obronnego systemu wieży; fosa ta jest jakby przydłużeniem wyżej położonych stawów o dzikim wyglądzie: gospodarstwo rybne? W marnym stanie, bo tuż za murami pogorzelska widziałem cuchnące, pełne żelastwa, bagniste, wysychające dno jednego z tych stawów, wskazujące nie na zarybienie, a raczej na zaszczepienie tych wód.

W kancelarii zostaję nad papierami 3 ludzi: jeden z nich mały, niepozorny, szczerpy coś tłumaczy dwu innym. Gdy wszedłem, nie od razu przerwał swoje wywody: — „musicie ich kierownika zaraz obejrzeć... wychowanie rasowych buhai to rzecz kosztowna, a oni przysyłają nam braki! Nie dopuszczaj, żeby mi jakieś suchodupki — cielaki zaśmiecały wychowanie! Dostaliście do nich rodowody? Nie!

— Wiele sztuk mamy bez rodowodów i dobre — przerywa jeden z trójki.

Widząc, że pragnę się przedstawić, przerwało.

— Mieliście towarzysze telefon z Komitetu Powiatowego? Kierują mnie do was w sprawie...

— A... towarzysze z ministerstwa... siadajcie.

Wszystcy trzej partyjni: Andrzej Pelc, były stelmach, obecnie kierownik gospodarstwa, o czym poinformowano mnie jeszcze w KP; drugi tutaj to buchalter Alfred Bartela, syn górnika ze Śląska, oraz Witeksa Jan, szwajcar wychowawca buhai, repatriant z Bugu.

Kierownik Pelc, wysoki, szczupły brunet lat około 40, dziwi się ogromnie, po co „redaktor” przyjechał do Siedlęcina i z miejsca charakteryzuje gospodarstwo jako teren wcale nie wzorowy, nie nadający się jako temat nawet do

stanowczo odmówił druk, Orzeszkowa, która w tym czasie podjęła pracę nad wydaniem w świeżo otworzonej księgarni serii książek postępowych i narażona była od początku na ostre ataki kół klerykalnych, znalazła się w kłopotach.

„Są to prawdziwe arcydzieła poezji, ale też zarazem i — herezje — pisała do Jeza. — Czy mam nabyć je i do serii I nakładu włączyć albo nie? Pytanie to stawiam ze względów następujących: Rzecz piękna i postępową wydać, skoro mi w ręce wpadła uważam sobie za powinność, z drugiej strony przecież jaskrawa niereligijność rzeczy tej może w opinii publicznej zachwiać całym przedsięwzięciem, moim. Postępowych zjednać sobie, chwytliwych do zastanowienia się skłonić, lecz zachowawców utracę na wieki wieków i sprawę na pościół narazę. Co czynić, zachować być czy ostrożną? Manifestować się pawnie i od razu, czy dyplomatyzować nieco?”

Jeż namawiał do rozważ, proponował do przygotowania gruntu przez postępowych pisarzy. Napisał też do „Nowin” uznanie zapowiadającą druk chwalonych „Fragmentów”, za którą tak dziękowała Orzeszkowej Konopnicka w liście.

Mimo tych przygotowań „Fragmenty” nie uniknęły ostrej napaści ze strony klerykalnej, przypisywanej Sienkiewiczowi. Wytoczono stereotypowy rejestr oskarżeń i kalumnii wstecznicstwa, oraz obwiniania obu zasłużonych pisarek o tendencje rusyfikatorskie. Cały obóz postępowy stanął wtedy w obronie spotwarzanej idei. Świe-tochowski zgryźliwie wskazywał, że nawet reakcyjne carskie dzienniki dystansowane są przez warszawską prasę klerykalno — konserwatywną w zakresie ataków na swobodę myśli — „dostojni panowie, wstrzymajcie miecz swojej pomsty nad nieszczęśliwą ofiarą, ażeby nawet „Dziennik Warszawski” nie urągał tabuomom swojsztwu polskiego myślenia i nie mówił, że „ani jedna literatura w świecie nie objawia takiej nieolerancji dla samodzielności cudzych przekonań, jak warszawska”.

Taka burza rozpetła się w prasie warszawskiej wokół wczesnego utworu Konopnickiej.

Dalszy rozwój ideologiczny pisarki szedł niejednokrotnie zrywkami. Utraciła też wiele ze swej pierwotnej bezkompromisowości, mimo wielkich zasług realistki demaskującej w nowelach i poezjach nadu-

CZESŁAW SCHABOWSKI

LUDZIE PIERW

gminnej ścieżki gazety, a co dopiero do jakiejś warszawskiej.

Wkrótce kierownik i szwajcar muszą wyjść do swych zajęć i pozostaje sam na sam z buchalterem. Ten udzieli mi potrzebnych informacji. Gospodarstwo posiada 220 ha ziemi i jest nastawione na wy-cich rasowych buhai zarodkowych: trzymiesięczne sztuki dostarcza dyrekcja zespołu. Tutaj byczki rosną aż do „pełnoletności”, po czym sprzedaje się je do innych majątków, cierpiących na brak takich „baszów”.

Wychowalnia znajduje się na drugim siedlęcimskim gospodarstwie, odległym stąd o kilka minut drogi. Dowiaduję się, że i tam spłonęła stodoła, nieco mniejsza,



rys. St. Gierowski

ale pełna zbiorów: stąd siedlęcimskie PGR stoi wobec poważnych trudności. W r. 49 jesienią spaliło się 700 kwintali ziarna. Pożar powstał jakoby z krótkiego spiecia, na drugim gospodarstwie z przy-czyn niewiadomych.

Bartela ma lat 22 i poważne doświadczenia życiowe: jako trzynastoletni podrostek w czasie wojny został przez hitlerowców wywieziony do Niemiec do baueru. Po odzyskaniu wolności wraca do kraju i, dzięki otwarciu szkół, oraz możliwości bezpłatnego korzystania z nauki, syn górnika w paru latach kończy liceum rolnicze, a po maturze obejmuje posadę w Siedlęcinie. Jest rozgoryczony, ponieważ majątek jest zaniedbany na skutek skandalicznej gospodarki jednego z poprzedników Pelca, Ajnhorna... Był to człowiek „od robleń rozkładowej atmosfery w gospodarstwie”. Po nim objął Siedlęcina fernal Szejna. Ajnhorn odszedł

z życia ustroju i uciśnięcie człowieka uległa niejednokrotnie naciskowi opinii burżuazyjnych. A jednak nigdy nie zaparła się wiary w konieczność zniszczenia na ziemi krzywdy człowieka i fanatyzmu, hamującego postęp myśli ludzkiej. Dlatego też jedyną może wśród pozytywistów — mogła zrozumieć historyczne znaczenie rewolucji w 1905 roku, odczuć w pełni konieczność „gromu... co zetrze jesienne drzewo ludów trzęsące się w wietrze...” zrozumieć bezsens i daremność wszelkich wysiłków utrzymania „starej tamy”.

M. Z.

Warszawa, dn. 2.2.1879 r.

Czy Ty pamiętasz, Elizo, najmłodszą z koleżanek Twoich w ostatnim roku pobytu u sakramentek? Nie, nieprawdaż? I nie dziw: nie odznaczała się ona niczym, chyba pustotą swoją. Otóż ta mała pensjonarka jest dziś kobietą, która przed chwilą odebrała Twój list dobry. Twój list serdeczny i cała jeszcze drżąc wzruszeniem najgłębszym, wyciąga do Ciebie obie dłonie dziękując za słowa zachęty. Słowa te dały mi chwilę prawdziwego szczęścia w poczuciu wspólności celów i dążeń z takimi, jak Twój, duchami, wspólności, która najsłabsze nawet usiłowania uczynia i pewną im wagę nadaje.

Chciałabym napisać Ci coś o sobie, związać niejako przeszłość z chwilą obecną. Jak wiesz może, byłam wczoraj: wyszłam za mąż bardzo wcześnie — i wpraw na mnie spadły obowiązki życia, nim zdołałam z praw jego korzystać. Mieszkając ciągle na wsi, byłam zawsze samotną, samotność też była mistrzem moim. Nauczyłam się trochę myśleć — i wystarczać sobie.

Otóż i wszystko. Od czasu jak mieszkam w Warszawie, przychodzi do mnie chwile głębokiego zniechęcenia; brak mi szerszego oddechu, swobody, przyrody. Wstecz i naprzód widzę szereg nędz społecznych, jakaś ospałość z jednej, chybione ruchy z drugiej strony...

*

Warszawa, d. 2.4.1879 r.

W ostatnim liście Twoim Elizo, rzuciłaś mi kilka pytań, które opóźniły trochę mój odpis. — Pytania są czasem jakby sondą zapuszczoną

w samo serce: sprawiają ból. A jednak rzecz to niezmierznie prosta za pytać kogoś: „Czy masz rodzinę? Czy jesteś szczęśliwą?” I człowiek, który przez długie lata przed tym pytaniem od własnych uciekał myśli, spotkać się z niem może na ulicy, w salonie, w ledwo zawiązującym się stosunku.

Czy mam rodzinę? Tak, mam męża, który jest znacznie starszy ode mnie i mieszka na wsi, mam dzieci (Boże! jaką gromadę!) które tu przy mnie uczą się w Warszawie. Otóż mimo to wszystko zdaje mi się często, że nie mam rodziny. I śni mi się jakiś domek biały, gdzie dwoje ludzi dzieli się myślą, uczuciem — i bodaj czarnym chlebem niezależnej pracy. Tęsknię do takiego życia.

Czy jestem szczęśliwą? Powiem ci, długo dosyć zdawało mi się, że tak. „Zdawało się!” Jakże ludzaczem jest to małe słówko! „Zdaje się” nic ci nie brak: wstajesz, gdy ci się podoba, pijesz kawę z mniej więcej dobrą śmietanką, dowiadujesz się, że w oborze przybyło graniat eiele — a w kurniku kurczę zuchate, w południe masz na obiedzie proboszcza lub jakiego zamazystego sąsiada, wieczorem czytasz gazetę, w niedzielę podziwiasz jaskrawe stroje sąsiadek — i jesteś zadowolona z życia, z ludzi, z siebie nawet, zupełnie jak na przyzwyczajoną osobę przystoi. Aż naraz — przychodzi jakiś wieczór gwiazdzisty, jakaś noc bezsenność, która ci w piersi rozbudza tęsknotę i nieznaną pragnienia i pytasz się: „Co jest szczęście?” A potem pytasz: „Jest-żem szczęśliwą?” I nagle — obisz tak nadzwyczajne odkrycie jak Kolumb w przeblasku światła spostrzeżasz ład nowy, świat lepszy, wyższy. I czujesz po niespokojnych rzutach myśli, że nie jest jeszcze zupełnie szczęściem mieć męża, który uważa żonę za swoje najstarsze dziecko, głośno całuje i głośno krzyczy, poluje, jeździ do miasteczka i o sporach granicznych rozprawia. Spostrzeżasz, nieszczęsną, że nie wystarczy ci graniat eiele, dorodne główki kapusty, parę modnych fioków i rozmowa o niczym. Spostrzeżasz, że byt twój jest bytem zamkniętym w klatce ptaka, który swoją drobną główkę, pełną motywów leśnych pieśni, rozbija o szczebel więzienia. Tęsknisz, pragniesz, ploniesz... Tem gorzej dla ciebie: legumina opadnie,

ku: współzawodnictwo pracy, osiągnięcia w produkcji. W mojej sytuacji pisarki, raczej muszę zdobyć twórczość jak najszybciej, zatem nie tutaj... Bo Siedlęcina, to cóż? Trzeba by tworzyć dzień po dniu i układać sześciolatki, kartkę po kartce, rozdział po rozdziale...

Droga dółka: trzeba stać wiać. Pelc, żegnając się ze mną, zapisał:

— Ilu was jest w terenie?
— Około 70...
— I wyobraźcie sobie towarzyszu: 70 placówek otrzymuje duchowych opiekunów, ludzi z talentem nie tylko pisarskim, ale na pewno o wielu innych zdolnościach. Możecie podciągnąć tych, co zostali w tle, możecie być umocnieniem dla tych, co twardo stoją na nogach... Nie musicie siedzieć ciągle u nas... przyjeżdżcie bodaj na dwa dni w tygodniu, ale stałe... a na tych 70 placówkach na pewno przyspieszicie tempo sześciolatki... my o takich pisarzach marzymy: pisarz, przyjaciel robotnika! Już sama świadomość, że jest ktoś z nami, który może kiedyś w swej książce pochwalić za osiągnięcia, lub postawić pod przegię. Ho, ho, wiara li-czyłaby się z tym ogromnie!

Jeszcze chwilę rozmawiam i dowiaduję się, dlaczego Pelc odchodzi. Nowy konflikt — bez stelmacha w PGR co raz gorzej. Nie ma komu naprawiać sprzętu, wozów. Pelc już walczył o to, żeby zdobyć takiego fachowca dla Siedlęcina, ale bez skutku, wobec czego sam się degraduje, nie z żalem, bo na jego miejsce przychodzi dzielny człowiek — Szejna.

Pelc żegna się ze mną z nieukrywanym żalem, ale w oczach jego nie gasną iskierki nadziei...

Do dworca siedłem przez wieś. „Wrócić, czy jechać dalej? Diabli nadali z takim PGR... mam skierowanie do jakiegoś porządnego obiektu, a mnie się zachciało ten Siedlęcina obejrzeć... nie mogło i tu być jak należy... jeszcze te stodoły.”

„Dlaczego jednak te stodoły spłonęły, dlaczego akurat pegerowskie? Dlaczego wieś obojętna wobec tej sprawy? Czy komuś nie zależy na tym, aby w PGR działało się jak najgorzej? dlaczego ktoś popuścił groble przy stawach? dlaczego ktoś przysyła nierasowe byczki? dlaczego Ajnhorn był specjalistą do atmosfery rozkładu?”

Przechodzę obok maszynowej stodoły, na której na wrótach są wymalowane jakieś napisy: *Bogacze wiejski nie sprzedają zboża Polsce Ludowej*, i pod tym 9 rzędów nazwisk

L A T A C H

do E. Orzeszkowej



Maria Konopnicka

suknie wyjdą z mody, co gorsza, zyskasz nazwę dziwaczki w sąsiedztwie. Zginiesz, jeśli całą energią świeżo zbudzonej duszy nie ukochasz jakiejś idei, większej o całe niebo od trosk twoich powszednich, jeśli sobie nie postawisz w myśli jakiegoś wysokiego celu, zginiesz, jeśli nie nauczysz się milczeć, przebaczać, obcować z przyrodą i szukać choćby tych drobnych okrucich w wiedzy, jakie są przystępne samotnej wieśniaczce.

*

Warszawa, 3.5.1979.

Jakie Ty Elizo książki czytujesz — i jaką mnie radzisz obrać drogę w tej mierze? Dotychczas zajmowały mnie najgoręcej dzieła treści społecznej.

Zaczęło się to tak. Poszedłszy za mąż zwiedzałam wszystkie kątki mojego nowego państwa; otóż zdziwiło się, że na strychu znalazłam mnóstwo książek, które, od niepa-miętnych czasów tam wygnane, służyły już to jako nogi przeróżnym faskom i skrzyniom kalekim, już to jako pastwa myszom, już wresz-

cie jako zapas bibuły dwóm może pokoleniom gospodyni domu. Po-miedzy porożnymi egzemplarzami, których, doprawdy, plakać mi się chciało, znalazłam szkice Montaigne'a. Była to pierwsza książka burząca jak taran wiele noich dzieciennych jeszcze wyobrażeń i złudzeń. Zaczęłam się zastanawiać. „Jakto — zapytasz — po raz pierwszy po pojęciu za mąż dopiero? Nie dziw się, Elizo, ja wtenczas nosiłam jeszcze spódniczki z zakładkami: rosłam. Otóż z Montaignem uciekałam na dalekie spacer, ale jakkolwiek był moim towarzyszem, nie był przy-jacielem. Pozwalałam mu wpraw-dzie szeptać sobie do ucha różne, różne rzeczy, od których biło mi serce, ale nie kochałam go wcale. Chciałam go z dala od mego pocz-ciwego, ufnego Kremera, połam się nim w cichości otwierając szeroko zdziwione oczy na cały ten obcy dotąd świat pytań i nie za-spokojonych pragnień, który się nagle otworzył przede mną. W po-szukiwaniu odpowiedzi na te pyta-nia przetrząsnęłam całe stopy książ-ek różnej treści — i nie zaspokoi-

łam się wcale, aż kiedyś życzliwa ręka podała mi Supińskiego. Odtąd zaczęłam się uczyć, myśli moja znalazła jakby właściwe uj-scie dla siebie. Z rozmysłem już czytałam St. Millę, Chevelie-ra, Roschera, Buckle'a, Ta-ina, Ribota, Drapera i in-nych szukając wszędzie plusów ży-cia, jego zawiązków, praw jego roz-woju i wysokich celów udoskona-leń. Teraz czytam Schlossera.

*

Warszawa, 2.8.1879.

Listy Twoje, droga Elizo, dodały mi odwagi: pod wpływem ich za-brałam się do pracy szerszych roz-miarów i wykonałam ją wczoraj właśnie. Są to trzy sceny z prze-szłości — a przedmiotem ich jest ta nieskonczenie smutna walka, ja-ką wolne umysły i duchy toczyły po wszystkich wieki z potęgą tradycji i powagi kościoła. Pierwsza z nich ma tytuł Vesalius i maluje chwi-le z życia tego anatoma, skazane-go przez Inkwizycję na wieczne wy-gnanie. Druga obejmuje odprysze-nia Galileusza. Trzecia Hy-patia.

Wybrałam dwóch pierwszych pio-nierów wolnego badania w dziedzi-nie nauk; bez wątpienia barwniej-szy obraz można by wysnuć z dramatycznych dzieł sekularnych, ale mniemałam, że oni też tylko uosabiają cząstkę prawdy, tymcza-sem gdy oczywistość twierdzeń nau-kowych, dziś każdemu już znanych, dodaje siły bezwzględnej niejako postaci takiego Galileusza na przykład.

Kiedy skończyłam pierwszy z tych obrazków, Jenike powziął myśl, żeby to wydać osobno z ry-sunkami Andriollego jako pre-mium do Tygodnika Ilustrowanego. Zgodziłam się na to, ale teraz drę-ka myśl, że ścigając na siebie uwagę krytyków warszawskich. Dodaj mi odwagi, Elizo.

*

Warszawa, d. 19.9.1879.

Tygodnikowi Ilustrowanemu pra-ca moja, o której Ci pisałam, wy-dała się zbyt liberalna; musieliby, jak mówią, nowe wywieścić sztan-dary. Ścisnęła w spaltach dzieła-nika nie zwróciłaby tak uwagi, a'e w oddzielnej książce byłaby nie zawodnie przedmiotem uwag, za które Tygodnik nie czuje się na si-lach być odpowiedzialnym przed zastępem swoich czytelników. Pro-pomowane poprawki i skrócenia od-

rzuciłam. Sądzę, że pomysł jest zły lub dobry, ale nigdy nie powinien być łataniną. Stało się więc, że odebrałam rękopis — i posyłam Ci go, Elizo moja, tak jak jest. Przepraszam i zawiadam mnie — o ile możesz najrychlej — czy zechcesz to drukować i kiedy. Pytam się dlatego „i kiedy“? — ponieważ praca pióra, prócz idealnych ma też dla mnie praktyczne swoje cele, jako przykładająca się w znacznej części do utrzymania rodziny.

Jeśli zeszty, który posyłam znaj-dzie u Ciebie pobłażanie, to póź-niej napiszę obrazek, do którego treść zaczerpnę z własnych naszych dzieł społecznych. I tu nie brakuje silnych rysów. Bo je-żeli mało z tego, co prawdziwie wielkie — prócz wielkiej boleści i wielkiego czasem poświęcenia — w dziejach naszych znaleźć może-my, to jednak przynajmniej trzeba, że wszystko to, od czego były gorące najsłachetniejsze w świecie serca, w treści swej nie było narodowi obcem. I tem silniejsze można tu znaleźć kontrast, że naród strach był polityczny przez opór sta-wiany ożywym prawdom zba-wiennych idei, niosących mu nasie-nie reformy i odrodzenia, a z drugie-j strony wraz z chwilą ostatecz-nego upadku rozpoczęło się to od-rodzenie, które się pomyślić w oczach naszych dokonywa. W każ-dej sferze duchowego życia narodu trafiamy na odrodzone i wzmagaj-ące siły i na resztki wszelakiej niemocy i upadku. Z łatwością więc nie zniżając się do jednostkowych trosk i radości sięgnąć tu można w sferę ideałów, po których sła-chaćni spodziewają się marzonego pokoju i sprawiedliwości.

Warszawa, 22.10.1879.

Droga Elizo!

Czytając Nowiny z 19 paździer-nika domyślałam się, że to Ty usi-lujesz wyciągnąć z kątą kopciusz-ka, aby mu przypomnieć już prze-wieczek. Zmiliuj się! nie pasuje on na mnie... Zważ tylko, że niedaw-no jeszcze, kiedy mnie prosono na jakiś festyn, celem zapoznania z kilkoma osobami piszącymi, jedną moją odpowiedź na to był gwał-towny, prawdziwie parafianki ru-mieniec — i dwie wielkie łzy... Dzi-ka jestem, do szerszego życia przy-wyknąć nie mogę — a głosna wzmianka wytydził mnie jak rekla-ma. Wiem jednak, że takim tylko sposobem zwraca się na coś uwagę publiczności; wiem, że zro-

biłaś to, serdeczna moja, żeby mi pomóc w tym świecie, gdzie wszys-cy rozpychają się pieściami, żeby sobie zrobić miejsce — dla cichych zostawiając obietnice ewangelicz-nych błogosławieństw.

Nie troszczyłam się nigdy o to, co pisze, tak jak Ty się troszczysz Elizo droga! Tobie chodzi napraw-dę o to, żeby całość wyszła jak najlepiej... Czy mogła bym wymy-slić coś piękniejszego jak tytuł proponowany przez Ciebie? Zapew-ne, ten, którym chciałam spóść trzy-te ustępy, nie dorównywa mu wcale. Z przeszłości jest to słów-ko jako by odsuwające w oddalone czasy tę walkę, jaka przecież i dziś toczy się jeszcze na wszelkim polu prac i myśli ducha. Z przeszłości — to jakby tylko echa — wspomnie-nie, jakby rozdzielenie się bezu-żyteczne nad tem, co zastygło i nie wchodzi już jako działający czyn-nik w ruchy obecne społeczeństw. Tak jednak nie jest, wiesz to sa-ma najlepiej — i zapewne ta myśl podała Ci piękne nad wyraz okre-ślenie mojego zeszytu. Wprawdzie tytuł dawniejszy miał jedną dobrą stronę, mianowicie tę, że zaznacza-jąc niejako silnie, że „to już prze-szło“ — rozbrajał dla tych kart wielu niechętnych. Po cóż jednak mam się lękać? Konsekwencje za-sady przyjąć trzeba lub wyrzec się jej; ja jednak nie jestem z tych, co się wyrzekają zasad.

*

Bad Nauheim, Salinen 12, d. 13.5.1905.

Moja najmilsza, droga!

Nie piszę, nie mogę pisać! Kto wie, czy bym nawet mówić mogła, gdybym była z Tobą? Myślę, że nie. Przysłułabym się tylko do Ciebie i wzięwszy w dłonie Twoją drogą rękę milczałabym, a Ty byś i tak wiedziała, co myślę, co czuję...

Może milczałybyśmy obie słuchając, jak przechodzi — nie! jak cwałuje czas nagle opóźnione spra-wy świata do biegu, do biegu... Da-lej! dalej! Wszystko musi stanąć u me-y w jakiejś wyrocznej godzi-nie. Wszystko, co jest, umyka z dro-gi temu, co ma być i będzie. Kto zwiódł, kto stał, kto w nierucho-mości uwierzył — idee, państwa narody — musi teraz na skrócenie szyi dopętać mety owej, choćby paść i pada. Świat, trzask, tętent gwałtownych jak walkirie godzin. A wszystkie z sobą coś niosą — coś co się staje, co chce żyć, co musi żyć, i coś — co umiera. Więc pewno byłoby tak, żebyśmy milcząc słuchały. Może — czekały. Chciały-bym doczekać — nie już dnia — ale pierwszego, leciuchnego obrzasku sprawiedliwości.

U STAREJ TAMY

U starej tamy zgłęb w lęk
Od długiej, ciężkiej pracy,
Od żrących pyłów ślepi wpeł
Mocują się biedacy.

Zapadła pierś ich ledwo tchnie,
Pot im zalewa oczy;
Gnają się kolana wyschłych nóg,
A każdy głaz swój toczy...

Trzęsą się czaszki lysych głów
Młotem, beznadziejnym ruchem.
W schyłonych grzbietach trzeszczy
[kłos]
Wiązaniem twardem, suchem...

Każdy z nich zdłwiga tyleż lat,
Co i ta stara tama:
Jak dawno żyją — tego śmierć
Nie pomni nawet sama.

I ciągną taczki, pęk lin,
Dębowe ciągną tramy.
Umocnić muszą walty mur
Tej starej, starej tamy...

Lecz próżno syją gruz i żwir
I próżno wala kłody;
Z pod rąk im chwytą wartki wir
Zapory i zagrody.

Chwieje się belka, pęka sznur,
Staczają skał odłamy!
Potężna fala rwie się w mur
Tej starej, starej tamy...

A wtedy stają, patrzą w dal
Swym osupiałym wzrokiem
Za tą ogromną siłą fal,
za tchnieniem wód szerokim.

Zwiedle im wargi jakiś dziw
I jakiś lęk otwiera;
I patrz, patrz, jak z pod nóg
Woda im ład wydziera.

Ani w nich skargi, ani słów,
Tylko milczenie samo
I zadziwione chwiejące głowy
Nad starą, starą tamą...

NA FUJARCE

Świecą gwiazdy, świecą
Na wysokim niebie...
Jeno nie myśl chłopie,
Ze to i dla ciebie!...

Ta jasna z tysiąca,
Co wchodzi od boru,
Jako skrawek słońca —
To pana ze dworu...

A niżej ta druga
Ze złota szczerego,
Co nad stawem mruga —
Proboszcza naszego...

A trzecia, co w pobok
Rzuca snop ognisty,
Jako srebrna kądziel —
Gwiazda organisty...

Wszystkie przed oczyma
Pała się, jak zorze...
Tylko twojej nie ma,
Chłopie ty, nieboże!

Powiadają ludzie,
Ze z dawnej dawności
Pan Bóg wszystkie gwiazdy
Zapalił w równości...

Ni chłopia ni pana
Nie było na niebie,
każdy człek swą własną
Gwiazdę miał dla siebie...

Ale jak się zaczął
Kurczy lud ubogi,
Poszły gwiazdy z nieba
Na rozstajne drogi...

A te pańskie świeca,
Jako talar biały,
A te chłopie w rolę,
Jak łyż, pospadały!

KONIEC WIEKU

...Wontus est vita mea et
non revertetur oculus meus,
ut videat bona. Job VII, 7.

Buduję stos, wznosimy stos!
Plak wieku, feniks złoty.
Przedśmiertny swój już wydał głos,
Przedśmiertne podniósł loty.

Już wali się tych sosen las,
Już wala się te dęby,
Który z ziętych grzbiecie czas
Na stosu nosi żreby.

Już trzeszczy belka, trzeszczy tarm
Zwałowych wiązań domu,
Co sponała na stosie tam,
Jak sucha powięź łomu.

Już warczy z dala w chmurach [grom,
Już bliżej, już gdzieś blisko,
Co rzucił ma w ten suchy łom
Czerwone swe iskrysko.

Dobytch żywć z puszczy żył
Już smolną wonią dyszczy
I łoskot sekier, żarzyty pił
W ostępach mrocznych słyszysz.

Wygnań mrok, wygnany cień
Z kryjówek matecznika.
— „Na światło zórz! Na świat! Na
Tysiące ust wykrzyka. [dzień!]

I kona kwiat, maleje liść,
Zdeptane stopy czasu;
Co musi dotrzeć, musi iść
Aż w samo serce lasu.

I pieśń po gwiazdach cichnie tuż,
Gdzie się te stopy niosą;
A kwiaty ronia perły z kruż,
Nabranych jasną rosą.

Lecz dziś nie pora drzeć o los
Piosenki, listka, kwiatu;
Buduję stos, wznosimy stos
Na nowe życie światu!

Maria Konopnicka

S Z E J K A D R Y

No, jak na Siedlecin 9 kulaków,
to partia jeszcze silna. Czy to im
może zależeć na tym, aby pod ich
nosami rozwinęło się i kępoło wzro-
rowe socjalistyczne gospodarstwo
rolne?

Czy właśnie zależy im na tym,
aby w PGR działał się najpodej-
Najazutrz wróciłem do Siedleci-
na.

Z sumem i hukiem zajeżdżam
na podwórze PGR: motocykl sta-
wiam pod ścianą przy oknie kan-
celarii, po czym witam się z Pel-
cem i Bartelą, którzy wyszli mi
naprzeciw. Nie byli zdziwieni.

— Widzicie towarzyszu — zwraca
się Pelc do buchaltera — że wy-
szło jak mówili: wrócił! Nasz
chłop, widać!

— Andrzej Pelc jest reemigrantem
z Francji i do PPR już tam nale-
żał jako aktywista.
W październiku 1947 r. przyje-
chał z transportem do Międzyzlesia,
skąd wraz z drugą rodziną repa-
triantów skierowano go do Siedle-
cina do majątku PNZ, podówczas
kierowanego przez Michała Ajnhor-
na, byłego ziemianina zą Buga.

Pan rzadca widząc łebskich
„francuzów“ miał jakieś wąskie po-
wody, aby odmówić przyjęcia ich
do pracy w Siedlecinie, motywują-
jąc, że majątek ma robotników aż
za dużo!

Pelc i jego towarzysze nie dali
za wygrana: dość byli pomiatani
przez francuskich kapitalistów,
dość się namęczyli dla wygody i
dobrobytu takich panów! Zostawili
roboty na stacji, sami udali się
gdzie trzeba: do KP. Partia zadwo-
niła do Ajnhorna i nakazała przy-
jąć reemigrantów. Za parę dni to-
warzysze z Francji wraz ze swą ro-
dziną przeniosli się do innego ma-
jątku, a Pelc rozpoczął pracę w
Siedlecinie, wykonując wszelkie
roboty polne i podwórzowe. Stał
się „majstrem do wszystkiego“.

Wkrótce dyrekcja zespołu przy-
słała plan przebudowy starej szko-
py na drugim gospodarstwie na
przyszłą wychowalnię buhai zarod-
kowych. Plan nad przebudową po-
wierzono Pelcowi.

Szopa-olbrzym, pełna okropnych
rupieci, pełna dziur w dachu i wy-
bojów w gnijącej podłodze, czyli —
jak nazywał to w rozmowie ze mną
Witeska — było to wielkie sito do
przesiewania gradu. I to „sito“ mia-
ło wnet stać się częścią wielkie-
go sześciolletniego planu, mieszka-
niem dla byczków.

Ajhorn oddając plan przebudowy
Pelcowi, pogardliwie się uśmie-
chał.

Pelc zaczął robotę już w listo-
padzie.



rys. St. Gierowski

Ale Ajhorn od czasu jak Pelc
postawił na swoim i został w Sie-
dlecinie, ustosunkował się do nie-
go bardzo wrogo: do pomocy przy-
dziela mu najgorszy, najbardziej
oporny element, ludzi, którzy trzy-
mają z Ajhornem. Kiedy Pelc kła-
cąc się z rzadką oświadcza mu, że
nie podobają mu się jego rzady,
Ajhorn przekreśla to i robi donosy
wszędzie, że Pelcowi nie podobają
się nasze rzady.

Co kieruje Ajhornem?

Spróbujmy to zanalizować. Jeśli
przy pomocy specjalnie sprepara-
wanej a t m o s f e r y Ajhorn
rozdzielił zespół robotniczy na żra-
cych się nawzajem wrogów, robo-
ta na pewno nie będzie tak szła,
jak trzeba... Jeśli jedni staną za
Pelcem, drudzy za rzadą — ci,
którym będzie zależeć na łaskach
Ajnhornów, zajmą się — podstawia-
niem „wrogowi“ nóg... Jeśli robotni-
ka będzie się traktować tak, aby je-
go warsztat stał się mu obrzydłym,

wydajność musi się zmniejszyć. Je-
śli nie będzie się dążyć do szkole-
nia robotnika, do utwierdzania
wiary w jego siły, a na odwrót, Aj-
horny będą swoją postawą odwo-
dzić od pracy nad sobą, utwierdzą
w przekonaniu, że robotnik ma być
tylko robotnikiem. Ta taktyka by-
ła w Siedlecinie widoczna.

Pelc się w tym dobrze oriento-
wał, toteż był on solą w oku Ajn-
horna.

Pierwszy deputat Pelca, to zro-
żnięta pszenica spod młynka.

Wszystkim robotnikom, którzy
nie popierali polityki Ajnhorna, za-
legał on z wypłatą w naturaliach
i gotówce za kilka miesięcy.

Potrąfił on z wywaz Pelca do
swojego prywatnego mieszkania w
nocy i, na miesiąc napróżd wyda-
wać fantastyczne zlecenia, straszyć
go, szkanować, obryzdać pobyt
w Siedlecinie do niemowlękości.

Pan Ajhorn wie, że Pelc jest
niewinnym, że nikt nie uwierzy w
podejrzanie rzucone na niego, ale
nie o to chodzi, aby Pelca zamknąć;
chodzi o to, aby na placówce socja-
listycznej gospodarki rolnej atmo-
sfera była stale naprężona: „Aby
do zimy... (Anders?)“; „Aby do wio-
sny... (Ameryka?)“; „Aby do jesieni
(Churchill!)“; „Aby do wiosny (Pakt
Atlantycki)“; „Aby do jesieni: Bom-
ba wodorowa!“

Ajhorn odszedł.

W tym czasie kierownikiem Sie-
dlecina zostaje Szejna. Gospodar-
stwo zaczęło rozwijać się w oczach.
Gdy Szejna odchodzi gdzie indziej,
na jego miejsce kierownikiem zo-
staje Pelc.

Ale nie ma komu naprawiać wo-
zów, siewników, sprzętu. Dobrze
jest być kierownikiem, ale o stel-
mach trudno, co raz trudniej. Sta-
rania Pelca i dyrekcji zespołu nie
dają rezultatu.

Pelc z Polski wyemigrował na
skutek bezrobocia. Opowiada mi
ten dzielny komunista, jak przed
wojną wychodził na drogę i wycze-
kiwał jakiejś okazji zarobku przy
zepsutych wozach. Kiedy znużenie
kładało go na trawę przydrożnych
rowów, Pelc na podszewie buta
kredą wypisywał cenę wynajęcia
się do roboty. Czasem zdarzało się,
że ktoś obudził Pelca i dał mu za-
robić, ale to nie ratowało od cią-
głego głodowania, poniżenia i ne-
dzy.

We Francji była robota w kopal-
ni, w której rychno znalazł chro-
niczny reumatyzm. Idzie do fabry-
ki cukierków i aż do wojny pracu-
je na francuskich kapitalistów. Zo-
staje zmobilizowany do armii Si-

korskiego, dostaje się do niewoli,
z której wraca do rodziny we
Francji w 1945 r., po czym zapisuje
się na wyjazd do Polski, następnie
perypetie z Ajhornem, ale i to
przeszło, tylko Pelc się martwi, czy
Ajhorn nie brudzi gdzieś w in-
nym terenie. Do warsztatu wraca
chętnie, przeświadczony, że sprawa
budowy socjalizmu nie polega
tylko na awansie, ale, jak w jego
przypadku nawet i na pewnego ro-
dzaju „degradacji“.

Siedlecin już się staje wzorowym
gospodarstwem, gdy chodzi o wy-
chów buhai zarodkowych. Wychow-
walnia jest pod opieką przewodni-
ka pracy, towarzysza Witeski, ma-
ło rozgarniętego robotnika, gdy
chodzi o książkowość, ale doświad-
czonego fachowca.

Kiedy pierwszy raz przyszedłem
do jego „władztwa“, od razu wróci-
łem do sprawy trzech nierasowych
byczków, jego zdaniem, absolutnie
nie mających prawa do tego, aby
być w siedlecińskiej wychowalni:

— Obejrzyjcie towarzyszu tego
tutaj — bierze mnie Witeska pod
rękę: jakiś perkalkowy, zamiast
daciuty... A ten zaś, patrzcie: zadek
u niego jak skrzypce, morda natom-
niast niczym balia... tamten, bacz-
cie: trzyma się na łapach jak anta-
tek piwa... to buhaje? to... kur-
zoki! — parsknął śmiechem Wi-
teska rad, że udało mu się znaleźć
natrafienie określenie: kurzok w
gwarze hodowców gołębi, to niera-
sowy, zwyczajny gołąb. — Pasiłki
sakramentnie chcą mi tu zaśmieci-
tych wychowalnię, ale ja się nie dam...
Nie potrzebujecie się znać na tym,
a już widać, co to za towar, nie?
Ale nie doczekanie ich! Już posta-
wienie sprawę na Podst. Org. Part.
i zobaczmy, kto ma rację: czy ja,
czy ten, kto ich tu przysłał!

Byczki są czyste, ogromnie fi-
glarne i robią wrażenie wypiele-
gnowanych. Witeska chodzi koło
nich, jak dobra niania koło dzieci,
które kocha.

Jan Witeska przed wojną, to naj-
bardziej upośledzony rodzaj pro-
letariatu: harował od świtu do
zmrzoku na pana, i jeśli weźmiemy
pod uwagę fakt, że nosił on z sobą
jeszcze i spadek po sanacji — ana-
fabetym częściej, można sobie
wyobrazić, jak żył przed wojną i ile
zarabiał.

Pochodzi zą Buga, w Siedlecinie
fest od 36 roku, ma troje małych
dzieci i dorosłego syna, który zaję-
ty jest tutaj jako stróż nocny.
Sprawa wychowalni to rzecz nie
taka podrzędna, jak mnie się po-
czątkowo zdawało: od tych przy-
szłych „baszów“ zależy przecież ca-
ła gospodarka mleczna, nie dziw-
no mi więc, teraz, gdy widzę, że ja-
ką troskliwością obchodzi się Wi-
teska ze swymi wychowanekami.

Dzień pracy Witeski jest bardzo
gorący: o 5 rano wyrzuca się gnój

i nakłada świeżą ściółkę, czyści się
byczki i futruje, po czym wyprowa-
dza się je na ogólnik; do boków
na powietrzu idą starsze, małe zaś
biegają po ogólniku cały dzień.
Po południu byczki starsze, w wieku
od 14 miesięcy są wyprowadza-
ne na 2 kilometrowy spacer, co czy-
ni się z każdym osobno. Około 18
godzin zaczyna się mycie wychow-
wanków z całodziennego błota i ku-
rzu, po czym na noc zaprowadza
do boków w stajni. W porze let-
niej na noc będą pozostawać na po-
wietrzu.

Witeska, zamiast według normy
obsługiwać 14 sztuk, obsługuje pra-
wie drugie tyle i dlatego jest pro-
downikiem pracy. Chwali się ro-
botę i, widać, jest to jego świat: na
każdego byczka (z wyjątkiem „ku-
rzoków“) patrzy jak wiecznie za-
chwycony fanatyk-hodowca. Bycz-
ki lubią laścić się do swego paste-
rza, ów zaś, tylko z nimi by obco-
wał. Trzeba jednak przywieść śrut
z magazynu, trzeba każdego star-
szego byczka wprowadzić na spa-
cer: roboty dość.

I Witeska czuje się naprawdę jak
człowiek, który bardzo wysoko za-
awansował, bo też zważmy: ten
pomiatany przez dawny ustrój pół-
analfabeta, dziś wraz z dodatkiem
rodzinnym na żonę i troje dzieci
otrzymuje około 27.000 zł, może
chować prócz świni, kur, kaczek
itp. dwie krowy na karmie PGR za
minimalnym zwrotem części kosz-
tów utrzymania, po 2.000 zł od
sztuki!

— Nowa umowa zbiorowa dużo
wam daje — stwierdzam w rozmow-
wie.

— I przed umową nie było źle,
tylko ludzie nie umieli sobie ra-
dzić. Gospodarstwo chce się opie-
rać na robotnikach stałych, a ludzie
latają co miesiąc gdzie indziej... kto
nie przyjdzie z nowych, zazdrości
mi dobrobytu... Niech posiedzą na
zadku tylko dwa lata w jednym
miejscu, mogą się sami dochować
krowy, bo cielaka za grosze można
kupić, a jak wam wiadomo, PGR
ma obowiązek za darmo wychować
robotników takiego cielaka aż do
pierwszego mleka! Dalej: stały ro-
botnik dostaje działkę ziemi ponad
ćwierć morga, a jeśli to chłop ro-
dzinny, dodatkowo po 5 arów na
głowie: działkę tę mechanicznie
obrobi PGR za zwrotem złotych
kosztów paliwa. Gdyby ktoś na
wiosnę przybył do nas biedny jak
mysz, już na jesieni z takiej działki
może zebrać spory grosz za same
ziemniaki. Za to można już kupić
i prosie, i cielaka, i wiele, wiele,
ho, ho! i za parę lat stać się można
zazwyczajnym tak, że niejedną po-
zdrości, tylko trzeba posiedzieć na
miejscu, pomedyz się trochę, zagó-
spodarować, a nie latać co raz to
gdzie indziej i na takie latanie czas
trać.

Czesław Schabowski

